

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 31 MARCA 1928 ROKU

NR 14

TREŚĆ NUMERU: Pani prezydentowa Michalina Mościcka—J. K. Duch nowego wychowania—Bogdan Suchodolski. Ibsen a sprawa kobieca — Stefania Podhorska - Okółów Wiersze: „Powrót”. „Biblijoteka” — Gabriel KarSKI. Chryzantes i Daria—Z. Reutt-Wilkowska. Za ramą lustra (nowela) c. d. — Herminja Naglerowa. Zwyczaje wielkanocne ludu francuskiego — Anna Ludwika Czerny. Z życia plastycznego — I. J. Odrodzony sejm w szacie z marmuru — Stefania Podhorska - Okółów. Wanda Landowska przy klawecinie—Paula Lamowa. Kobieta w świecie i w domu—H. S. Współżycie z ludźmi jako konieczność życiowa — L. Gerlachowa. Uczciwość zawodowa (dok.) — W. D. Wychowanie nowoczesnej gospodyni—R. Pelantowa. Święcone — Pani Elżbieta. Domowe farbowanie jaj — Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i roboty: Spódniczka i jumper — Well. Dodatek powieściowy: „Murzyniátko” (dok.) — Winifred Sanford—obrazek z życia murzynów amerykańskich — przekład R. C. H. Arkusz wzorów.

## PANI PREZYDENTOWA MICHALINA MOŚCICKA

(Drogowskazy społeczne).

Kilkadziesiąt listów, sto podań i próśb wpływa codziennie na Zamek warszawski pod adresem Pani Prezydentowej Mościckiej. Zwracają się do Niej wszyscy, co widzą w Niej orędowniczkę biednych lub pokrzywdzonych, inicjatorkę i opiekunkę dzieł społecznych, Obywatelkę, której rozum, doświadczenie i dzielność ducha budzą najwyższy szacunek i zaufanie. Wiedzą, że niczyje słowo nie będzie u Niej zlekceważone, żadna dobra inicjatywa pominięta, ani słuszna skarga — odsunięta. Zarówno przy okazjach reprezentacyjnych, jak czysto społecznego charakteru, pani Prezydentowa manifestuje wielkie zrozumienie potrzeb kraju i ludności, do której bezpośrednio zbliżyła się w akcji samarytańskiej, przewodnicząc pracom Komitetu Pomocy Ofiarom Powodzi w Małopolsce i objeżdżając osobiście obszary, klęską dotknięte. Pani Prezydentowa umie przytem nie-

protektorat zapewnia powodzenie pracom Polskiego Komitetu Pomocy Dzieciom, Komitetu Walki z rakiem; zapewnia pomoc Kołu Przyjaciół Domu Akademiczek, Tanim Mieszkancom i Kolonjom letnim im. Wawelbergów, etc. etc.



Pani Prezydentowa Mościcka

Małżonka Najwyższego w Rzeczypospolitej Dostojnika, jest nie tylko Dostojną Osobą, reprezentującą wysoką godność Swego Towarzysza życia. Jest człowiekiem, który ma swą własną kartę obywatelską — kartę, dobrze zapisaną. Wbrew osobistej skromności pani Michaliny Mościckiej, wie Polska cała, iż rolę, jaką odgrywała w życiu polityczno-społecznym, była rolą czynną, żywą, nacechowaną niepowszednimi zaletami indywidualnemi. Na Zamek warszawski przeniosła też pani Mościcka te same tendencje służenia społeczeństwu w każdej potrzebie, ten sam prosty nakaz pracy i obowiązku, te same walory rozumu i umiarkowania, które

re wysuwały ją oddawna na czoło organizacji kobiecych w Klubie Politycznym Kobiet Postępowych



i w wojennej Lidze Kobiet, które dały jej mandat w radzie miejskiej Łwowa. Te same — a spotęgowane możliwościami i zakresem, jaki otwiera się z natury rzeczy przed pierwszą w Rzeczypospolitej Obywatelką.

W kole różnolitych zagadnień, jakie — mniej i więcej palące — ze wszech stron, z wszelakimi narzucają się potrzebami w rozbudowującym się z impetem społeczeństwie Polski Odrodzonej — największem, najważniejszym i najdalej sięgającym wydało się pani Prezydentowej zagadnienie opieki nad dzieckiem.

W Polsce, przeżartej nędzą niewoli, krwią i pożogą wojenną zniszczonej, męczeństwem walk okupującej ostatni moment zmartwychwstania — zaroilo się od nieszczęśliwych, bezdomnych i osieroczonych dzieci. Jeszcze w 1922 roku obliczano sumarycznie, iż około 30,000 sierot, a ponad 130,000 półsierot czeka na ratunek społeczeństwa. a tuż z za kordonu wschodniego sprowadzono około 20,000 małych repatriantów, też przeważnie sierot. Instytucje opiekuńcze polsko-amerykańskie dożywiały do pół miliona dzieci dziennie, ocalając je od śmierci głodowej. Niestety — i to nie wszyskie!

Przerażająca nędza dziecka polskiego, najokropniejsza bodaj z krzywd współczesnych, bolesnym drga oddźwiękiem w sercach prawdziwie ludzkich. Ale niedość współczuć, niedość dać pomoc dorywczą... Zadanie jest zbyt ogromne.

Wielka akcja organizatorska, na nowoczesny prowadzona sposób, ujęta w karby społeczno - państwowe, wyłania się z dążeń działaczy społecznych. Czekają na jej realizację dziecko-sierota, dziecko opuszczone, dziecko, krzywdzone przez własnych rodziców i opiekunów, dziecko bezdomne, które żyje i nocuje na ulicy, dziecko rodziców bezrobotnych i to wreszcie nieszczęsne, które przyprowadzają do sądu dla nieletnich...

Oby ustała straszna niedola dziecka, krzywdzący podział społeczny na dzieci nasze i na dzieci ulicy!

Kiedyż, ach kiedyż?!

Łatwo mogła pani Prezydentowa Mościcka wybrać sobie efektowną część patronowania pięknym poczynaniom społeczników. Jednak wybrała, swoim zwyczajem — rolę czynnej współpracy. Zebrania na Zamku, zainicjowane półtora roku temu przez panią

Prezydentową, były prawdziwymi konferencjami w sprawach opieki nad dzieckiem, rzeczowemi, szczegółowemi, mozolnemi. Wyłaniały się, gasły, krystalizowały się pomysły i projekty; ścierały się i wyrównywały poglądy pod osobistym sterem Dostojnej Przewodniczącej.

I odtąd żadna poważniejsza akcja na polu opieki nad dzieckiem, żadna nowa praca nie dokonywała się bez wiedzy, a często i czynnego udziału p. Prezydentowej Mościckiej.

W myśl ustalonych planów, rozwija się akcja zakładania żłobków dla niemowląt, tworzenia i budowania różnego typu wzorowych zakładów wychowawczych i opiekuńczych, przysposabiania odpowiedniego personelu etc. Z konferencji na Zamku wyrosła niejedna, już dziś widzialna, korzyść dla sprawy, a bezpośredni, żywy pomnik stworzyła też sama pani Prezydentowa, otwierając w letniej rezydencji, w Spale ochronkę dla 50 dzieci bezdomnych, zebranych z pośród największej nędzy warszawskiej!

Ochronką tą, wzorowo prowadzoną, opiekuje się i troszczy o wychowanków sama Założycielka.

.....

Takie oto jest orędzie pani Prezydentowej Mościckiej — bez szumu frazesów miłosiernych i zgłębku demagogii — zwrócone do społeczeństwa.

Podjąć je sercem, a zrealizować rozumnie, pierwsze powinny kobiety. Bo z kobiecego, macierzyńskiego instynktu, z kobiecej woli, zwróconej zawsze ku opiece nad słabem i bezradnym, z uspołecznionej troski o to, co sercu najbliższe — o dziecko — owoc najdroższy marzeń o najpiękniejszej przyszłości — wypływają wskazania pani Prezydentowej Mościckiej. Co więcej, jest w nich głęboki rozum stanu, aki każdemu politykowi, każdemu statystycie dzisiejszej ery wskazuje, iż najgłówniejszą troską państwa, które chce żyć, jest wychowanie młodego pokolenia bez odpadków nędzy, nieużytków zwyrodnienia i zepsucia. Każdy przyszły obywatel godzien jest opieki, a miarą kultury społeczeństwa i rękojmią trwałości państwa jest ich wspólna troskliwość o nowe pokolenie — o dziecko.

Te są drogowskazy, jakie własnym czynem i przykładem zbudowała pani Prezydentowa Mościcka na rozstajach myśli o przyszłości Ojczyzny.

J. K.





BOGDAN SUCHODOLSKI

## DUCH NOWEGO WYCHOWANIA

*Indywidualizm i zbiorowość*

W artykule poprzednim przedstawiliśmy ideę pracy i ideę wolności w wychowaniu nowoczesnym, wskazując, iż są to w pewnej mierze idee sprzeczne, ale jednak związane wspólnie. Otóż wiązanie to dokonuje się zrazu na gruncie idei twórczości.

Idea twórczości — to jedna z bardzo charakterystycznych idei naszej kultury. Jest krytyką tego, co jest, i tęsknotą ku temu, czego nie ma. Kultura współczesna jest przede wszystkim mechanizacją: fabryką, biurem, formalistyką, łańcuchem norm, nakazów, przepisów. Twórczość pragnie innego świata. A pozatem cechuje współczesność utrata idei prawdy. W nauce, zamiast prawdy, mówi się o użyteczności (pragmatyzm), lub o poprawności dedukcyj z niesprawdzalnych założeń (aksjomatyzacja). W życiu politycznym partje parlamentarne znają tylko ideę kompromisu i taktyki, nie ideę prawdy, za którą się odpowiada bezwzględnie. Skutek jest ten, iż ludzie stracili odczucie jakiegobądź prawdy i możność bezwzględnej wiary w coś, gotowości poświęcenia się. Idea twórczości regeneruje to: tworzyć można wówczas tylko, gdy się żywo i głęboko przejęło jakąś prawdą. Hasło twórczości jest hasłem wewnętrznej prawdy; wiąże się też z renesansem idealizmu, a zmierzchem pozytywizmu, ze wzrostem prądów irracjonalnych, a osłabieniem racjonalistycznych.

W nowym wychowaniu zasada twórczości ma silną pozycję. Splata, a raczej powinna spleść — pracę i wolność. Każę więc docierać do jądra osobowości dziecka, odnajdywać w niem i pomagać jemu samemu do odnalezienia tego, co trwałe, silne, prawdziwe, aby na tem budować. Stąd powtarzane wciąż hasło wychowywania ludzi samodzielnych, twórczych, silnych, świadomych siebie. Stąd usiłowania psychologów i fizjologów do określenia różnorodności typów ludzkich. Tu wreszcie ma swe źródło zasada indywidualizacji w wychowaniu. Nowe wychowanie ma się na niej opierać. Dlatego rozsądza ramy organizacji szkolnych, schematy ustrojowe i programowe, zwalcza zasadę jednej szkoły dla wszystkich, organizuje specjalne grupy szkolne, dobrane według upodobań i zdolności.

Bardzo liczne i bogate są próby zupełnej zmiany dawnego nauczania. Bo skoro ma się ono opierać na twórczości — opierać się musi na indywidualnym zainteresowaniu. Nie trzeba nauczać-narzucać, ale rozbudzać zainteresowania i wskazywać drogi ich zaspokojenia. Stąd próby nowych szkół, takich, w których uczniowie uczą się przede wszystkim sami, własnym

wysiłkiem i z własnej chęci. Stąd też atak na wszelki werbalizm. W wychowaniu idea twórczości przejawia się, jako kult irracjonalizmu, idealizmu, entuzjazmu, porywu — i zwalczanie wszystkiego tego, co głoszone w dobie materializmu, utylitarnych wyrachowań, rozsądnych przewidywań, zastrzeżeń, rzucanych „mędrcą okiem”, jako tęsknota za człowiekiem indywidualnym, ale dlatego człowiekiem pełnym, człowiekiem radosnym i wolnym. I jak na miejsce nauczania zjawia się samodzielne uczenie się, tak miejsce wychowywania zajmuje samowychowywanie się, naturalne, spontaniczne, twórcze.

Ale zasada twórczości, jakkolwiek łączy w sobie ideę pracy i ideę wolności, wymaga innego jeszcze oparcia, jeśli w tem połączeniu zachowany ma być postulat społecznej użyteczności pracy, jej owocności dla ludzi. Nie każda bowiem twórczość jest taką. Dochodzimy w ten sposób do idei — idei współżycia. Jest to idea, zyskująca od wieków uznanie tem większe, im wyraźniej słabł wpływ czynników porad ludzkich. Im bardziej ludzkość uwalniała się z pod przewagi religijnych nakazów i zostawała sama i na samodzielność skazana tu na ziemi, i im bardziej komplikowało się życie, tem wyraźniej zwracano się do prób i usiłowań najlepszego zorganizowania ludzkiego współżycia. W epoce techniki i wyspecjalizowania pracy, po wielkiej wojnie, podważającej wiarę w rozumność samorządu człowieka — wzrosły te prądy i wyrażają się w międzynarodowych organizacjach pracy, Lidze Narodów, rozwoju socjologii, etc. U podłoża ich leży idea wspólności wszystkich ludzi, idea braterstwa, wyrażającego się potrzebą organizacji i współżycia. Przejawia się to i w nowym wychowaniu, jako idea grupy. Dla nowego wychowania jest właśnie charakterystycznym podkreślenie wychowawczych i dydaktycznych wartości grupy szkolnej. Nauczyciel przestaje być jedynym źródłem wiedzy, wyłącznym kierownikiem i organizatorem pracy, jedynym ogniskiem wychowawczym. Grupa szkolna staje się istotnym podmiotem tych wszystkich czynności, a nie tylko przedmiotem doznającym, jak dotychczas.

Jest to, według Dewey'a, kopernikowski przewrót w wychowaniu. Indywidualność wychowuje się w grupie. Jednostka wzbogaca grupę, grupa — jednostkę. Do wspólnych celów zmierza organizacja i podział pracy w grupie. Stąd popularna idea samorządu, pojętego jako samodzielny wyraz rozwoju i potrzeb grupy, a nie jako narzucona przez autorytet szkoły organizacja. Stąd



wszelkie szkoły doświadczalne, pozostawiające chaotycznej grupie swobodę i czas na życie się i zorganizowanie. Stąd podporządkowanie organizacji dydaktycznej, pedagogicznej i programowej szkoły — woli i potrzebom grupy.

W krańcowych obozach idea grupy łączy się w swoisty sposób z ideą pracy wytwórczej i czyni ze szkoły komórkę socjalno-gospodarczą, złożoną z uczniów, nauczycieli i rodziców całość, pracującą i gospodarczo samowystarczającą. Innymi słowy, grupa ludzi różnych zawodów łączy się w całość — rodzaj Fourierskiego falansteru — organizując samowystarczalne życie gospodarcze i dążąc do wytworzenia własnego ośrodka wychowawczego. Jest nim szkoła, będąca materialnie i duchowo własnością tej grupy, związana z nią tem, iż bierze udział w jej gospodarczym życiu. Nie jest więc założona przez kogoś, w stosunku do danej grupy obcego (rząd, jednostkę, i t. p.), i prowadzona przez ludzi obcych, ale wyrasta organicznie z życia i ludzi danej grupy.

Jest ich, nietylko dla nich!

Idea współzycia i idea twórczości, będące podstawą indywidualnej roli jednostki w grupie, są pewną analogią do idei pracy i wolności: wiążą się podobnie, jak tamte, choć też podobnie, jak one, są pod pewnymi względami przeciwne. Ten splot czterech idei, splot, w którym wolność wiąże się z pracą, dzięki temu, że indywidualna twórczość opiera się na idei współzycia, — splot, w którym, skądinąd, wolność i twór-

czość walczy z nakazami pracy i współzycia ludzkiego, ulegając im, lub przewyższając je — oto, jak się zdaje, najgłębszy węzeł ideowy nowego wychowania. Tego wychowania, które daje wychowankom swobodę poto, aby wychować ich na samodzielnych ludzi pracy, wychowania, które otacza troską spontaniczną, indywidualny rozwój twórczy jednostki, ale zarazem wtłacza ją w życie grupy, — które wiąże szkołę z życiem gospodarczym i socjalnym społeczeństwa, ale czyni ją także własnością tych, którzy się w niej rozwijają; wychowania, które cały dydaktyczny i pedagogiczny porządek życia w szkole opiera na woli i potrzebach grupy, złożonej z indywidualności, t. zn. nauczanie na zainteresowaniu, a wychowanie na naturalnym samowychowywaniu, tworząc „szkołę żywą“, „szkołę twórczą“, „szkołę radosną“.

Rozumiemy teraz założenie i podstawę owego splotu idei: jest nią wiara w dobro ludzkiej natury, w owocność jej samodzielnego rozwoju i wiara w to, że kultura wogóle rozwijać się może spontanicznie i w sposób naturalny niejako, wymagając ingerencji i kierownictwa. Dobro ludzi i naturalizm kultury — oto najgłębsza podstawa idei nowego wychowania.

Zobaczymy innym razem praktyczną wartość tych idei; tu w zakończeniu trzeba jedynie stwierdzić ogólnikowo znaczną tych idei wartość i doniosłość. Powinny być znane i poznawane, u nas szczególnie, gdzie reforma szkolna utożsamia się zbyt często z reformą ustroju szkolnego.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## IBSEN A SPRAWA KOBIECA

*W stulecie urodzin Ibsena*

Był podobno czas, kiedy imię Ibsena, niczem podzwiek stali bojowej, budziło błyski namiętności w oczach i zapalało serca płomieniem entuzjazmu lub protestu. Nic dziwnego: Ibsen, ten nieuleczalny poszukiwacz prawdy, godził zuchwale we wszystkie twierdze uświęconych tradycją fałszów i przypochlebnie łaszących się surogatów, a nic tak nie boli, jak zdemaskowanie hypokryzji.

Młodość Ibsena zbiegła się ze schyłkiem romantyzmu. Rok 1848, „wiosna ludów“, był zarazem szczytowym załamaniem się poetyckiego prądu w wysiłku

politycznym, — krwawym zachodem słońca, które przez pół wieku niemal przyświecało ludzkości fata morgana ziemi obiecanej. Ibsen, wyrosły w refleksach walter-scottyzmu, oczarowany młodzieńczą wizją Per-Gynta, nie wyrzekł się dawnych bogów. Zmienił tylko system i teren operacyjny. Przeszedłszy doraźnie fazę poetyckiego rozmarzania się przeszłością, wgrzył się w teraźniejszość, spragniony żywych soków, głodny zdrowego mięsa rzeczywistości. Z obrzydzeniem wypułł zgniliznę. Nie dla niego był ten świat, sklecony po partacku na chwiejnym fundamencie ideo-



wego bankructwa ze spróchniałych bali przeżytków i szmelcu pozorów. Zanim pozytywizm dojrzał, okrzepł, stęzał w formę myślenia, zaskorupiał w nakaz społeczny, zapleśniał w konwenans,—lbsen ze wzmogoną chyżością przemiany materji, właściwą genialnym organizacjom duchowym, już go przerósł o głowę, zdyskwalifikował, jako czynnik rozkładowy, zdeptał i odrzucił.

To radykalne i bezapelacyjne stanowisko wobec uznanych powszechnie i nadużywanych ku prywatnej wygodzie form współżycia musiało ściągnąć burzę na głowę apostoła prawdy i prawości. Wszystkie nielitościwie smagane „Podpory Społeczeństwa” mściły się za egzekucję stawianiem znakomitego dramaturga i kata hypokryzji pod pręgierz opinii publicznej.

Nieubłaganego wroga uprawnionych nadużyć nazwano „Wrogiem ludu”; bojownika o jednolitość linii etycznej w życiu rodzinnem pomawiano o podkopywanie samej racji istnienia rodziny. Ale te zarzuty były jak uderzenia biczem dla rasowego rumaka: podniecały go do żywszych ataków. Dla ludzi tego typu, co lbsen, niebezpieczeństwo nazewnątr nie istnieje; groźne dla nich są tylko wiry podwodne, burze morskie na wielkich głębokościach ducha.

Owocem takiego kryzysu wewnętrznego była „Dzika kaczka”. Chorąży prawdy miał tu odwagę wyzwać na pojedynek samego siebie. Uczynił to z całą lojalnością, z jaką prawy rycerz traktuje uczciwego i godnego siebie przeciwnika. Złożył broń przed superarbitrem miłosierdzia, które, wbrew nakazom katńskiego sumienia, zezwalało na kłamstwo w imię dobra. Pod tym kątem widzenia „Dzika kaczka” staje się czemś więcej, niż jednym z arcydzieł lbsena: jest momentem jego oddalenia się na puszczę i przewartościowania dogmatów ideowych na szalach względności. Żeby się na to zgodzić, trzeba być więcej, niż poetą: trzeba mieć umysł mędrca.

To samo stanowisko filozoficzne i bezstronne udało się lbsenowi zachować wobec problemu, w którego samem założeniu tkwiła zasadzka: wobec kwestji kobiecej. Wielowiekowe nawarstwienia i złogi tradycji, prawodawstwa, legalnej przemocy i usystematyzowanej męskiej logiki — ciążyły, jak kamień mogilny, na tym problemacie, kiedy lbsen podszedł do niego nie z romansowym kwiatuszkiem i z uniwersalnym balsamem obrączki małżeńskiej, ale z toporem wikinga, który w tym ostępie przeciwnieństw

i zawiłości, splecionych w miłosnym uścisku, postanowił wyrąbać drogę prawdzie.

Pod pierwszym ciosem siekiery padł „Domek lalki”, wypuszczając ze złoconej klatki bezbronnego ptaka, uskrzydłonego tylko własną niedolą i krwawo zdobyta wolnością. Łuk mostu, po którym Nora przeszła nad przepaścią—od popiołów zakłamanego ogniska rodzinnego w nieznane jutro kobiety nowoczesnej—był rzucony z taką maestrią nieomylnego jasnowidztwa, że na samą myśl o takim rozwiązaniu sprawy nogi ugięły się pod czcigodnym aeropagiem pseudocnot patryarchalnego ustroju. Dla nas dzisiaj ów zamach stanu równa się wybijaniu drzwi otwartych, ale wówczas śmiałość skrótu perspektywicznego, z jakim skreślono przerodzenie się bezdusznej pozornie laleczki w świadomego swej krzywdy i swych praw człowieka, zakrawała conajmniej na skandal. Nora stała się postacią niemal symboliczną, pierwszorzędnym atutem w grze o wyzwolenie kobiety.

Błędem byłoby jednak upatrywanie w lbsenie jakichś tendencji wyłącznie feministycznych. Miał on poprostu odwagę wyciągnięcia pewnych wniosków z przesłanek, które nasuwały się na każdym kroku, ale na które przezornie zamykano oczy. Kobieta lbsenowska niezawsze jest ofiarą, żywiołem słabszym, któremu, w imię sprawiedliwości, należy dać obronę i poparcie. Umie ona być demonem mężczyzny, ujarzmiającym go najpewniejszą bronią, jaką natura złożyła w jej ręce; umie być świadomym wampirem, lub nieświadomem narzędziem prainstynktów, drzemających na dnie jej istnienia; niewolnicą, u której zdrada jest raczej odruchem samoobrony, niż winą odpowiedzialnego za swe czyny człowieka, albo „nadkobietą”, depcząą prawa boskie i ludzkie w imię indywidualistycznego bezprawia.

Cała ta galerja postaci kobiecych, o tak odmieniem obliczu, ma jedną specjalną cechę wspólną: monumentalność. Nora, Rebeka, Hedda Gabler—to nie są mgławice: to są posągi, mocno stojące na cokółce rzeczywistości. Cień, który od nich pada na literaturę, rozmiarami swemi i spoistością dorównywa ciniom, rzucanym przez postacie historyczne. Ich sylwety wrzynają się w pamięć z bolesną niemal wyrazistością, zmuszając nas do wspólnego z niemi przeżycia ich wzlotów i upadków, ich raju utraconego i zasłużonej, lub niewinnej Golgoty. Zapomnieć o nich niepodobna, jak nie zapomina się ran, dawno zablizniowanych, choćby już boleć przestały.





## POWRÓT

Do ciebie, która byłaś mi pierwszą kochanką,  
wracam — trwożny, niepewny: jak mię dziś powitasz?  
wiem tylko: jeśli przyjmiesz — o nic nie zapytasz.  
Pokój burzliwym nocom i znudzonym ranom!  
Pokój dniom roztrwonionym! O, pozwól mi wrócić!  
wysłuchaj mię i bądźmy już razem we dwoje.  
Odszedłem cię, zdradziłem — wielkie winy moje —  
lecz nigdy głos tęsknoty w mem sercu nie ucichł,  
głos tęsknoty do ciebie, — on wskazał mi drogę  
i oto dziś kochanek wracam marnotrawny  
i jeden tylko uścisk mi się śni: ten dawny,  
ten pierwszy — twój — którego zapomnieć nie mogę.

## BIBLIOTEKA

Nikt nie wie, czem jest dla mnie ta oszklona szafa  
z książkami Słowackiego, Żeromskiego, Staffa...  
O, książki, książki moje, wy tylko jedne wiecie:  
gdybym was nie miał — jużby dawno nie było mnie na świecie.  
O, książko — wierna kochanko, o, książko — dłoni bratnia,  
o, najsilniejsza z rozkoszy, najczystsza, najtrwalsza, ostatnia!  
O, przyjaciele najbliżsi, w tym waszym cichutkim tłumie  
żyłem tak — jak się w życiu żyć nie może, nie śmie, nie umie.  
Tutaj, w tej skromnej izdebce, tutaj, od ludzi daleko  
otwierało mi się serce — wraz z oszkloną biblioteką  
i było mi coraz słodziej i ciszej, i piękniej, i czystiej  
i tom wierszy rówieśnika czytałem bez zawiści  
i ja — lichego poeta — miałem chwilę wielką, jasną  
gdym cieszył się cudzą książką, jakgdyby była moja własną.  
. . . . .  
Nikt nie wie, czem jest dla mnie ta sosnowa szafa  
z książkami Słowackiego, Żeromskiego, Staffa...





Z. REUTT-WITKOWSKA

## CHRYZANTES I DARJA

Z CYKLU „HESTJA”

Niepodobien był senator Polemjusz onym przodkiem swoim, co kucharza i wraz podkomorzego w jednej karmili osobie: idem coquus, idem atriensis, w domu, gontem krytym, gdzie ni splendoru sprzętów mnogich, ni zgrai nie bywało niewolnej, w której każdemu inszy starunek około pańskiej osoby, czyli też chudoby powierzono.

Patrzmy! oto już godziną obiednią purpurową się łąną triclinium cale zalewa: a to od zapór jedwabnych, bardzo cennych, zawieszonych przeciw słońcu w otworze pułapu, aże wszystkie w tej łąnie barwy kłamią. Zielone wszystko, mech nawet wodotrysku wókrąg i szklące liściem szerokim jabłek medyjskich drzewa—jakoby śpiżem się stawa, miedzią zgłuchłą... układana zasię posadzka nie białemi już, a różanemi się zębi tabliczkami; jeno czarne, co się z niemi w deseń plotą, czarnemi są, jako były i będą.

Idzie oto po nich, idzie... pracowitym kroczkiem drobi Namphamo, paedagogus—nito popielisko, palące jeszcze—po barwie znać. Przesypuje się cicho, w szatach szarych, ogniem obiednim tym nasiąkłych... Aż przed pana niesie postać swej znikomość; jeden z szatą swą—fenicyjczyk widno lub żydowin, za greka wždy uchodzący, w greczyźnie bo nad greka bieglejszy, Namphamo—szczęścińca. Bo takie imię nosił z sobą wraz po świecie.

— A co?... co mi rzec masz, mów prędko... — przeciągnie się na wezgłowie senator, syt, a nawiedzinom nierad. Wstrzymają wachlarzy pawich nakłon dwaj czarni, zajęci posługą oną niebylejaką w śręczogi czas. Przerzuci Polemjusz niecierpliwie z ręki do ręki ambry orzech spory, co żar odciąga z dłoni w śręczogi czas. Długie, niewieście ręce.

— A co?—zdrowy już syn mój?

— Zdrow Chryzant, panie. Terjaku bo korzeń, od czasów niezapomnianego nigdy w pamięci mędrców ubogich Marka Aurelego, cesarza, znamienity—podałem mu był na czczo o świecie i po śniadaniu raz wtóry... Zdrow, panie — zawaha się.

Oczy jego, bardzo czarne ninie, jako też były i będą, niespokojnie żarzą się z pod powiek cienkich, udręczonych myślą. Szukają... o coby się wsparły?

Naprzeciw nim wybiegło inszych ócz dwoje czarnych: poprzez struny harfy wysokiej, smukłej, wąskiej harfy egipskiej sący się spojrzenie troskliwe, a przydające otuchy. Ewodja patrzy, harfiarka. Ani piękna już; owarzyła ją obczyzna latami poniewierki. Jeno że pięknie gra. Kocha się w gęźbie Polemjusz.

— ...Zdrow, panie, aleć się tu lękam dlań gorączki złej nawrotu z pierwszą figą żrzałą w sady. Zły to czas.

Ziewnie senator. — Więc cóż radzisz, cóż radzisz nareszcie?! Jedyny toć syn!—Orzech ambry z dłoni w dłoń przerzuca niedbale.

Przesypują się fałdy popiołów kraśniejących, nieporadne; oczyma o wzrok Ewodji się wsparł chwilę i słowo męzne wykrztusi:

— Jechać.

— A-a... na Jowisza... jechać, jechać! Dokąd? poco? zaco? — przeciągnie się na wezgłowie, niechętny.

— Wedle wybrzeża Koryntyjskiego rybki są znamienite, które wartoby, naśladować w tem Tyberjusza cesarza, jako ów one skarusy kreteńskie, do stawków naszych słonych przenieść, a sławę stąd mieć nie-małą...

— Powiadasz?... tak, tak, wartoby może, warto... — ożywi się Polemjusz, na łokciu wesprze.

— U Medontydy zaś Onezyfora, pana niegdys mego, winobym wziął, ono mirtowe lesbijskie, dziwnego a przedziwnego smaku, jakom powiadał już, a tego nikt z gości twych, ni cesarskich, nie pijał jeszcze.

— Tak, tak powiadałeś już, powiadałeś... jedźże! — zasępi się wtem. — Rok zły. Po amfor parę jedziesz daleko, a tu mi zaś wino nie urodziło. Podróż — rozchód znaczny.

— Nie urodziło wino. Wždy właśnie z iberyjskich dóbr pańskich człek wytrawny od mistrza stadniny posłan; pismo ma. Prawi, jako ogromne zapasy wełny kanuzyjskiej czerwonej, przedniej, w obmian za własną, czarną, otrzymane są; ono zaś wielki zysk wróży, iż na purpurę jakoby samorodną podfarbić się da kanuzyjska małym kosztem, co ów pokazać ma, sekretu świadom, bywszy w Tyrze i w Aleksandrii.

Rozjaśni się znowu twarz Polemjusza.

— Tegom czekał. Z dobrą wieścią w dobry czas. Jedźcież tedy, jedźcież! a farbiarza mi tu dawaj sam!—do pacholęcia się podręcznego zwróci rozkazem.

Spotkały się raz jeszcze spojrzenia dwa, poprzez struny harfiane. Dzwonią rozradowaniem głębokiem; ręka biegła strun szuka.

— Zagrajcież! — padł nowy rozkaz w dobry czas.

Ozwa się fletnie bercyntyjskie, zawtorują im tyryjki, ambubaje, piszczki sławne. Po harfie radość lata...



Cichym przesypał się popiołem w ukłonie przy-  
ziemnym paedagogus Namphamo.

Ginie w perystylu.

\* \* \*

Stuk miarowy młotka u steru. Wiosła szeroko-  
władne zagarniają wodę szeroką. Hen, w dali niepa-  
mętnej została Ostja, kędy żółty i cichy Tybr pełza  
między mizerne drzewiny, kuszczę, pyłem sponiewie-  
rane białym; we fiołkach, irysach błędnących zato-  
nęła Pontia; olbrzymia rozwała się zmora kamien-  
nych groźnych radnych podle Sycylji.

...Oto już rozśmiały się z morza Cyklady, perły.

U burty pacholę pańskie, białe. Nie jeszcze wy-  
zwolin swych snadź dorosło wieku; odzież dziecięca.  
Twarz młodzianka podobieństwo wielkie z Polomju-  
szem wydaje. Też niewieście, długie dłonie. Jenó  
wszystko, co mdle w ojcu i czcze, w Chryzancie się  
rozmarzeniem jakowemś—szerokiem, jako ta woda—  
prześwietli; oczy ma też nieojcowe, nie wilkiem bu-  
dzące się, ale promienne, ale widzące w dal.

— Namphamo! Namphamo! — zwróci się do sta-  
rego radością nagłą, niewstrzymaną, jakby iście kogo  
nawoływał z pełności serca. Ów zasię tuż. — Jakież  
bo z ciebie czarownik, prawdziwie, ojcowe pozwolen-  
stwo iżeś wziął tak łacno!

— Cóż chcesz, Chryzancie. Kocha cię ojciec,  
a dobraby ci podróży skąpić miał?! nie tak wielkie  
to moje czarodziejstwo, chłopcze.

— Szkoda ino, iż Powodji niema z nami. Nie  
odważyłem się był prosić o nią na drogę.

— Dobrześ uczynił, Chryzancie. Ojca ulubione-  
go dźwięku harfy niepięknie zbawiaćby. Marcipora  
nam zato użyczył — westchnie zlekka paedagogus.

— Do ojczyzny cię wiozę matki twej, synu —  
przyda.

— W Koryncie, ponoć, rodziła się matka? — za-  
duma się pacholę.

— Onezyforos, szlachetnego rodu Medontydów  
odrośl, pan mój—a stryjec macierzy twej, Chryzancie,  
niejedno ci o niej z czasów, gdy dziewczką była  
nieletnią, powie. Uroczą to była pani, wełnę w ciszy  
ogniska swego prąść lubiąca... — urwie nagle. Majak  
mu się przesunął domu, roztrzęsionego dzwonem  
uczt bezprzestannych, pełnego mimów i tancerek;  
do czego się jedynie budził był zawdy z półsnu swego  
senator, gdy nie do zysku. Zniszczała przy nim Gre-  
czyńska.

— Patrzaj, patrz Namphamo! Jakie tu kształty  
biorą na się obłoki?! myślę, z nich ponoć Apelles bo-

gi swe białe rzeźbił... Bogowie Żywi z nieba Grecji  
strzegą. O, patrz, nie Apollo to, Lutnista?!

— Bóg Żywy — uśmiechnie się Namphamo.

Szklącym lazurem ślizga się sudno, na wschód  
obrócone. Stuka rytmicznie młot.

\* \* \*

Tedy nie wiedział już Chryzant, jako ma pa-  
trzeć: blasku pełne powierze, jakoby aż drga, aż mro-  
wi się rojem niewidnym sił żywych, wzbierających  
wiosną w dzień, lzydzie-bogini przez żeglarzy gre-  
ckich poświęcon. Cudza bogini — a stała się swoja.

Bóg ów, o którym Namphamo prawi, którego  
w domostwie Onezyforowem pełno, czyli nie cudzy  
też, z ziemi Judzkiej?

Wolej patrzeć chwili tej, nizeli myśleć. Wolej  
patrzeć, jako idą drogą ludu mnóstwo ku szumnemu  
morzu; masek mnogo: blask gra po hełmach żołnierzy,  
po kołczanach myśliwych... strzał pęk purpurą piór,  
ochrą się złotą jeży po kołczanach, a gladiatorów ciała  
lśniące blask odziewa, pancerzy blask twarde mięśnie  
białokamiennie... urzędników togi bogate, fałdziste,  
roztoczyste i filozofów pallja bogaci blask, na zała-  
mie każdym, jakoby marmur dłutem misternem ogła-  
dzon kłamię... a śmieje się, a śmieje...

Co, słońce Hellady śmieje się z Ganymeda w  
małpią sierść i małpią twarz odzianego?! Czylić już  
orły więcej tronów Dzeusowych nie strzegą?!!

Nie myśl o tem.

— Patrz, patrz! Kłapouch istny w piórach czer-  
wonych i złotych, spiżowy słońca złotem: Pegaz to,  
nowa maskara; i Bellerofon z nim—starzec.

Przeżyliż się bohaterowie, chimeroburcy dawni  
przeżyliż się?!!

Nie myśl.

\* \* \*

Białą zakwitła ulica, nieznosną w słońcu. W rę-  
ku sistra srebrne dzwonią, przejasne. Zachwycą woń  
zawrotna bursztynowych i czarnych włosów niewie-  
ścich z pod welonów obłocznych, jako te na niebie  
cirusy rozciągle nad niemi. Po ziemi kwiaty, kwiaty,  
bogaty szlak, usłany bogini; sypią wciąż, sypią idące—  
sistrów i piszczków zgiełk, kadzidło, pochodnie...  
słońce!

Słońce w zwierciadle tymczasem, lzydy miast,  
którą wiozą — wysoko — a przed nią ów zwiercia-  
dło na plecach niesie dla niej; owa zasię grzebień  
z elefantyny, cenny. Chór głosów śpiewa Pani cześć.

(d. c. n.)





HERMINJA NAGLEROWA

2

# ZA RAMĄ LUSTRA

(nowela)

Potem, gdy się przed lustrem kładzie kapelusz — wolno wierzyć, że się jest właśnie podobną do milczącej blondynki o owalnych policzkach. Małą trójkątną brodę chowa się wstydliwie w szare futerko kołnierza.

Gdy się wracało do domu, światła ułożyły się już warstwami na czarne cienie nocy. Lampki reklam dzwoniły czerwonymi, niebieskimi płomykami, a po twarzach przechodniów pełgał płatami ruchliwy blask.

W wędliniarni kupowało się wędliny, bo Kazio prosił o mortadelę. Owszem, Kazio jest kapryśny nudziarz, ale nie jest miło pamiętać o tem wśród ludzkiego gwaru. Dopiero, gdy na Polnej wyrysował się na bruku cień drzew Politechniki, przypominały się ni stąd ni zowąd, czarne, popłatane smutki. Przez podwórze szło się już, jak przez dno czeluści, a na zapluty schodach nogi stały się krnąbrne ze zmęczenia.

Kazio ucałował pobieżnie w zimny policzek i dalej mocował się z fajką. Przy kolacji rozwodził się szczegółowo nad spróchniałym zębem i znowu tak wiele miał do zarzucenia swojemu szefowi. Helena łagodziła bóle i krzywdy miłym uśmiechem. Ale gdzieś daleko, daleko, poza murem czaszki, poza szumem mózgu — stukwały słowa, jak młoteczki: Poco go kochałam? Poco go kochałam?

Igła cieniutka, świecąca jak rzut iskry, przewlekała się przez osnowę, a szara przędza splatała się w gęstą cerówkę. Jak małe kocięta leżały w koszyku zwinięte skarpetki i pończochy. Kazio opowiadał o wojnie — jak okopy zaszyły wodą i rozśmiergły się od wydzielin, naśladował świst kul i klekot karabinu maszynowego. Powtarzał tę opowieść chyba co drugi wieczór. Oczy Heleny umiały doskonale udawać zachwyt. Ale dziś już nie chcą. Może następnym razem — a może już nigdy?

W repertuarze Kazia jest jeszcze inna opowieść na długie zimowe wieczory. Helena zna ją od początku do końca — z datami, z dokładnem określeniem miejsca, z nazwiskami i imionami, jak w „Kurjerze”. Kiedyś opłakała pokryjomu te wszystkie szczegóły. Były wówczas „zwierzeniem” Kazia, lecz z biegiem lat stały się zwykłą anegdotą o pierwszej miłości.

Usta skrzywiły się nad splątany węzełek i mimowoli musiało się niecierpliwie syknąć, szarpnąć nitkę. Kazio urwał właśnie przy pierwszym pocałunku: Nie, to naprawdę śmieszne, że jeszcze się tem irytujesz!

— Tem? Nie...

Zaprzeczyła leniwo. Mżenie zielonego klosza lampy zachodziło głęboko w zmęczone źrenice. Senność ujęła skronie w miłe głaskanie.

— Zagraj preludjum — czulił się Kazio.

— Nie mogę, tyle jeszcze tego cerowania.

Kazio uśmiechnął się chytrze, jakby coś swojego własnego rozumiał.

— Widzisz, daszasz się. A przecież „tamto” było już tak dawno!

I znowu data, miejsce, sytuacje, sceny. Niby obmierzłe chleptanie z pełnej misy. A nad tem wszystkim — mój Boże! — snuje się nastrój wspomnienia, niczem błękitny wietrzyk. Wtedy już całkiem blisko wykłuł natrętny młotek: Poco go kochałam?

Krótkie dni zimowe zapadały w noc, jak w głęboką studnię. Nie można było za dnia nadażyć z czynnościami, więc przelewały się w zmierzchu, jak z jednego naczynia w drugie. Obiad przy lampie smakował, jak kolacja, a na lekcje chodziło się już niemal późnym wieczorem, niby do teatru, czy na koncert.

Przybierało się więc bezwiednie odświeżające gesty i pudrowało twarz poto, by mokry śnieg kładł się na nią puszystymi plastrami. Od tupotu rażnego biegu ploszyły się na Polnej czułe pary, których i tak nie darzyła Helena życzliwością. Były, bowiem, niby ilustracją do anegdoty Kazia, taksamo nudną i znaną w najdrobniejszych szczegółach. Więc właśnie: 12-go grudnia, pod Politechniką, spacer w stronę pola wyścigowego, przwrzeczenia wierne aż do śmierci i t. d. Umyślnie stapała głośno, by nie usłyszeć tychsamych słów, które umiała napamięć.

Lepiej już było na Koszykowej, dokąd zgarniała się wrzawa Marszałkowskiej. Przebiegało się obok hal targowych, ziejących zapachem ryb i mięsa. W mdłym świetle latarenek warowały tołubiaste przekupki, niczem psy w budzie. Czasem kupowała tu Helena świecące, jak z brązu, piklingi i małe, niby oksydowane szproty. Patrząc w brudne szyby hali, stwierdziła, że i ten świat zna niemal napamięć. Pamięta przecież dokładnie tę poranną wrzawę, rozbitą wysoko pod spojeniem dachu, natrętnie krzykliwą, jak wrzask gawronów. Kopce masła i serów, wydłużone szyje ptactwa, białe lędźwie wieprzów, kokietliwe jarzyny, wędzące w upały, a zimą zamrożone w kolorowe szklivo.

— Wszystko z mego życia umiem napamięć: przepis na tort czekoladowy i „Patetyczną” Beethovena; anegdoty Kazia i karlsbadzki serwis w bukieci. Czegóż to jeszcze przyjdzie się wyuczyć na wieczne pamiętanie?



Przyspieszony oddech wsiąkał w szare królicze futerko i wysrebrzał się szronem. W skośnie ustawionem lustrze witryny poznała siebie, biegnącą naprzeciw. Jednak odbicie nie dobiegło, skrzyło w bok i przepadło nazawsze.

— Ach, otóż i mądry morał lustra! Jestem, nibyto jestem i nagle niema mnie! Przestaję istnieć w tafelce życia, w ramach, które zamknęły tyle i nie więcej.

Wróciła umyślnie, aby raz jeszcze zobaczyć to śmieszne widowisko. Za nią szło kilka osób i taksamo z lustra spłynęło w niebyt.

— Czarodziejskie lustro! — szepnął ktoś.

Zatrząsał nią przestach. Któż to podpatrzył niemądrą jej zabawę?

Gdzieś poza czarną kopułką kapelusza Heleny śmiały się obce oczy.

— Czarodziejskie, bo pani w niem jest.

Zrozumiała intencję i prędko poszła swoją drogą. Galant zato regulował swój krok według jej tempa. Na Szczyglej podsunął się bliżej i zaszedł wkrąg, aż pod latarnię. Znała te manewry jeszcze z pensjonarskich czasów. Ale teraz, gdy się już przekroczyło

czterdziestkę... Z tem większą ochotą podeptała cień prześladowcy i wbiegła do bramy. Miała pełną pierś śmiechu, gdy zaklaskała przygrywka do tańca.

— Mamy dziś tylko kwadrans lekcji, idziemy do kina!

Wesoły kwadrans minął i Helena wyszła znowu na ulicę cichą, białą, płonącą górą zielonem światłem latarni. Po świeżym śniegu biegły ślady nóg, niby małe dziecinne łódeczki na wielkiej wodzie. Kroki szeptały sekretnie, jakby czając się. Ukryły się ostre pazurki pod ciepłą skórą na piersiach. W gwałt głównych ulic szło się, jak w szum kolorowych skrzydeł, a pogłos ich szemrał aż tu, do rozczochranej czupryny męża.

Można się było śmiać przez cały wieczór z przygody. Kazio powiedział: — Ja bym już czekał pod bramą.

— W takie zimno?

— I cóż? — dla „czarodziejskiej”!

— Nie przesadzaj, mój drogi!

Uśmiechnął się chytrze, jakby coś swojego własnego rozumiał.

— Gdybyś nie była zazdrosną jędzą, opowiedziałbym ci niejedno.



ANNA LUDWIKA CZERNY

## ZWYCZAJE WIELKANOCNE LUDU FRANCUSKIEGO

*Kwietna niedziela*

I.

Kiedy zbliża się czas Wielkiej Nocy, umysł zajmują nie tylko kościelne obrzędy, nie tylko przygotowania obfitości jadła na rodzinne święto Wielkiej Niedzieli, — trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę, aby z okazji święta Odrodzenia nie zaniedbać zwyczajowych przepisów i obrzędów, które ludziom i chudobie zdrowie, piękność i płodność, — polom urodzaj zapewnić mogą, a zgoła i po nadprzyrodzoną władzę lub dary sięgnąć pozwolą. Od Kwietnej niedzieli począwszy, każdy dzień, każda godzina niemal, przynosi nową radę.

„Kwietna” niedziela nie wskazuje niczem, że otwiera tydzień „Męki Pańskiej”. Jest to raczej święto radości, wesela, święto obfitości i dobrej wróżby dla pól i stadła. Ludzie obdarzają się wzajemnie smakołykami i palmami. Palmy jedynie w okolicach Nicei i Mentony na tę nazwę naprawdę zasługują, święcą tam bowiem liście palmowych drzew.

W całej Francji zastąpił je oficjalnie bukszpan. Lud jednak święci nadal gałązki wszelakich krzewów, zieloniejących w tym czasie, a posiadających własności utajone: poszukiwane są palmy z białej tarniny, chroniące od burz i piorunów, lub z rozmarynu, który radość daje i cnoty dziewczęcej strzeże. W Prowancji święcą laur, ostrokrzew — w alpejskich krajach. Często jednak, zwłaszcza na południu, w rękach dzieci widzimy tylko zwiłki z kolorowego papieru, wystrzępionego po brzegach, przypominające czasem rogi obfitości.

Wszystkie te „palmy” w Prowancji i krajach alpejskich strojone są w świecidełka i wstążki, wiszą na nich łakocie, a zwłaszcza małe ciastka „remoliwes”, smażone na oliwie, które są specjalnością doliny rzeki Durancy.

Palmy te posyłają sobie ludzie w upominku, jak u nas różgi w dzień św. Mikołaja. Są one marzeniem dzieci, zwłaszcza owe prowanskie rogi obfitości, mieszczące w sobie wiele przysmaków.



W Delfinacie rodziny przesyłają sobie wzajemnie andruty, jak w Prowancji — placki oliwne.

Piękny zwyczaj panuje w Bretanii, gdzie gałązki święconego bukszpanu rzucają w morze, dla topielców. W całej Francji te gałązki bukszpanu z Palmowej niedzieli leżą przy konających i służą, jako kropidła, do skrapiania ciała zmarłych wodą święconą, — są one symbolem odrodzenia i wiecznej szczęśliwości.

W środkowej i wschodniej Francji gałązki te, nad drzwiami stajni zawieszane, strzegą krowy od złej mocy czarownic. W okolicach Orleanu, wetknięte w ule — zatrzymują roje w pasiece i wzmagają ich rojność.

Uderzeniem święconych palm zapewnia się dzieciom zdrowie, bydłu — płodność. Prowansale przez wieńce lauru przepędzają drób, odmawiając 5 „Ojcze Nasz“ i 5 „Zdrowaś“, aby uchronić ptasi ród od pasożytów.

Zdrowie zapewnia nie tylko uderzenie palmą i spożycie placków: w Prowancji i Langwedocji jedzą wielki groch, aby się uchronić od czaryków. Groch ten ma cudowną własność od czasu, gdy J. Chrystus, dążąc do Jerozolimy, przez pola, zasiane nim, przejechał w dzień Kwietnej Niedzieli. W dolinie rzeki pie-monckiej, Dora Baltea, zamieszkałej przez lud prowancji, jedzą w dniu tym święcone jabłka, chroniące od bólu gardła.

W niektórych okolicach wróżą w dniu tym ze stanu stawków i bajor o obfitości plonu: jeśli są pełne wody — urodzaj pewny; jeśli wyschły — głód.

W Turenji i okolicach Blois, gdzie wogóle po zachodzie słońca zamiatają niechętnie, w dzień Kwietnej wystrzegają się tego usilnie, aby nie narażać głowy domu na śmierć niechybną. Jest to bezsprzecznie ciekawy ślad dualizmu, podobny do tego, jaki spotykamy u nas, w Beskidach dolinińskich, gdzie żaden chłop nie pozdrowi po zachodzie słońca w imię Chrystusa, gdyż kiedy mrok zapada, „czas już do Onego należy“.

Kwietna Niedziela przedewszystkiem ma moc nad ukrytymi skarbami. Te zawsze fascynująco działają na wyobraźnię chłopca francuskiego, stając się często wyłącznym bodźcem poczynań, jak np. w Bretanii, gdzie tyrańsko opanowały folklor.

Żyją legendy, a tu i owdzie zachowały się do dziś wierzenia, że w czasie, gdy procesja palmowa dochodzi do drzwi kościelnych i ksiądz zaśpiewa „Attolite portas“ — otwierają się na mgnienie oka wszystkie skarby, ukryte w podziemiach, ścianach zamków, jaskiniach; wirują w posadach i odchylają się menhiry, olbrzymie, pionowo stojące głazy z epoki przedhistorycznej, okazując szkatułki z klejnotami, lub tajemne wejścia; trwa to zaledwie kilka sekund, bo z otwarciem kościelnych bram znów wszystko powraca do dawnego stanu.

Legendy te wiążą się ze wszystkimi prawie menhirami, od krańców Bretanii, aż po mury Paryża i wał górski wschodnich granic, czepiając się ruin środkowej Francji (zamków Ormeteau, Pyramont, Preuilly,

Montaiguillon); wszędzie zaś skarbów strzeże djabeł, żądający wysokiej zapłaty (w Grotte des Fols w Bourbonnais chciwiec musi zapisać mu duszę), lub „guirry“ — potwory, chętnie porywające dzieci. Czasem zazdrosne skarby otwierają się tylko raz na dziesięć lat, jak w Château Pyramont.

W Châtelard, w górach Forezu, mają być zakopane skarby legionów rzymskich. Wiąże się z tem i podanie, podobne do owerniackiego z Ormeteau.

W czasie procesji palmowej zdarzyło się, że kobieta z dzieckiem, przed którą nagle otworzyła się skała, weszła w głąb gór, gdzie znalazła komnatę, kapiącą od złota i klejnotów; na środku stało łóżko z kości słoniowej, lśniąco drogiemi kamieniami, a stopy ich różnoprężne leżały opodal. Wieśniaczka złożyła niemowlę na łóżku, zagarnęła, co mogła, klejnotów do fartucha, dopadła śpiesznie otworu, lecz po dziecko nie zdołała już wrócić: skała, zamknąwszy się, dziecko uwięziła. Zabrane skarby nie utuliły rozpaczki matki, która nadarmo pięści o skałę krwawiła. W końcu dał się słyszeć głos, zapewniający, że dziecku nic się nie stanie, jeśli matka co tydzień przynosić będzie pod skałę czystą koszulkę i jadła dość, w następną zaś, Kwietną Niedzielę, za rok, o tej samej porze, gdy otwierają się skarby, odbierze dziecko zdrowe, jeśli wszystkie skarby odda lub rozdzieli między ubogich.

I tak się stało. Biedna matka co tydzień przynosiła pod skałę jadło i czystą koszulkę, a znajdowała na trawie poprzednią; po roku zaś, w czasie procesji, oddawszy wszystkie zabrane skarby, odzyskała dziecko zdrowe, i gdyby nie wieniec ze złotem jabłkiem na głowce, mogłaby uważać całe zdarzenie za sen i majak. Przy tej sposobności należy położyć nacisk na związanie jabłka w górskich okolicach z Palmową Niedzielą.

Na całym terytorjum celtyckiem spotykamy też podania o czarnych węzach w koronach, które z pod głazów wypływają w Niedzielę Palmową, że źródła świętych wodę piją, złożywszy obrączki złote obok na trawie; kto je spotka, a pilnie wówczas śledzi, odkryje mu drogę do skarbów. Wąż taki strzeże słynnej burgundzkiej Roche du Jardon, która „warta więcej, niż Beaune i Dijon“, takie skarby kryje! Spotykamy je i w Owernji, i w Delfinacie, zwłaszcza niższym, i na t. zw. „Zimnych ziemiach“, przez które się Delfinat z ljońską ziemią łączy. Stare zwyczaje radziły, aby włożyć pierścień, złożony na trawie przez węza, „węzową koronę“, w przygotowaną kulę, lub walec, wydrążone, a kolczaste. Wąż, chcąc dostać korony, toczyć je będzie i, poraniwszy się kolcami, zginie, pozostawiając cudowny pierścień w rękach poszukiwacza skarbów.

W Bretanii i dziś rozsypują ziarno w miejscach osławionych, aby tem pewniej zmusić skarby do objawienia się w kwietną niedzielę, która stała się w zwyczajach i wierzeniach ludowych wiosennem świętem pomyślności.



## Z ŻYCIA PLASTYCZNEGO

Wystawa „Bractwa św. Łukasza” ustąpiła miejsca w Zachęcie obrazom plastyków wileńskich. Wileńszczanie cechuje przede wszystkim jedno: tworzą oni szkołę — szkołę, znajdującą się w orłicie bardzo silnych wpływów mistrza, t.j. Ludomira Ślodzińskiego. Ale właśnie na obecnej wystawie łatwo można zaobserwować, co się dzieje, gdy uczniowie nie mają dość silnej indywidualności, by „prześcignąć mistrza”. Wówczas po większej części to, co u „mistrza” było żywe, mocne, co było wewnętrzną koniecznością — u satelitów przeradza się w manierę, kostnieje, staje się formą suchą i martwą. Owo dążenie do zamkniętej formy, poszukiwanie za wszelką cenę klasycznej harmonji, która u Ślodzińskiego wynikała i wynika z jego wewnętrznego artystycznego nastawienia — w licznych obrazach jego uczniów staje się niczem więcej, jak szablonem, przeradza się w czysto zewnętrzny akademizm.

Sam Ślodziński wystawia trzy prace, z których jedna jest rzeźbą — ta ostatnia bardzo ładnie związana, pełna istotnie klasycznego umiaru i harmonji. W „Ogrodnikach” artysta daje nowe rozwiązanie zagadnienia stosunku postaci do pejzażu. We wszystkich tych pracach znakomita technika Ślodzińskiego nasuwa istotnie ewokacje klasyczne — w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Tymon Niesiołowski, którego obrazy wiszą w tej samej sali, stoi poza „szkołą”. Jest to jeden z malarzy, którzy mają najlepsze dziś w Polsce poczucie koloru. Jego pejzaże i niezmiernie subtelny „Grajek” (nie pamiętam dokładnego tytułu tego obrazu) zdradzają dość niezwykłą u nas kulturę kolorystyczną i są najwyraźniej wynikiem stałych poszukiwań artysty w dziedzinie barwy. Kiedyś — po latach, gdy nauka o sztuce osiągnie poziom istotnie poważny, gdy malarstwem zacząć zajmować się w podobnie fachowy sposób, jak się to dzieje dziś, np., z literaturą (oczywiście, niepodobna być tak śmiałym i wyobrażać sobie, że my jeszcze możemy dożyć tych dni nieprawdopodobnych — ale może nasze wnuki...) wtedy, być może, mądrzy krytycy wytłumaczą, dlaczego, zwalczając ideologiczny i tematyczny stosunek do obra-

zów, nie zwalczą się jeszcze tem samem „nastroju” i „poezji” w malarstwie. Może być, że wtedy zrozumieją wszyscy, że takie, a nie inne rozmieszczenie tonów barwnych, taki, a nie inny zespół form może nadać obrazom ten „nastój” i „poezję”, których im nie dadzą najbardziej „melancholijne” lub sentymentalne tematy. Obrazy Niesiołowskiego, mimo, że tematycznie najzupełniej, jeżeli tak można powiedzieć, obiektywne — mają właśnie żdźbło owego „nastroju”, płynącego, zdawałoby się, od tych subtelnych tonacji kolorystycznych, jakie cechują jego płótna.

Osobna sala poświęcona jest litografjom Wyczółkowskiego. Mistrz pokazuje znów lwi pazur. Co za rozkosz dla oczu, owe czarno-białe symfonie! Kiedy Wyczółkowski maluje promień słoneczny, który, jak grot, przeszywa ciemną gęstwinę lasu — to daje istotną, prawdziwą walkę światła z czernią. Jego obraz jest potężną bitwą — czarność się splata z białością w śmiertelnym uścisku — i oto białość zwycięża. Słońce. Ale słońce malarza — malarza z krwi i kości.

\* \* \*

W lokalu związku Plastyków na Nowym Świecie wystawiali ostatnio pp. Malicki i Zawadowski. Wspominając o wystawie tej tylko z obowiązku sprawozdawczego — ponieważ jest już zamknięta, zanotujemy tylko kilka ładnych w kolorze pejzaży p. Zawadowskiego (zwłaszcza jedną jego aleję z drzewami). Prace p. Malickiego nie mają charakteru oderwanego. Są to wszystko projekty teatralne do „Kupca Weneckiego”, — a więc projekty kostiumów (nie „stylowe”, a bardzo oryginalnie przestylizowane), oraz projekt konstrukcji scenicznej, wychodzący z założeń sceny rotacyjnej —

bardzo ciekawy i wart realizacji scenicznej. Innego typu prace p. Malickiego — kompozycje abstrakcyjne — mamy sposobność oglądać także na obecnej wystawie w lokalu związku — na Wystawie Modernistów. Tytuł to może niezbyt szczęśliwy, bo niewiele mówiący. Młoda sztuka każdego bez wyjątku okresu nazywa się modernistyczną — „modernistami” byli w swoim czasie malarze Secesji — i nazwa ta jeszcze nie określa kierunku. Być może, że było to zresztą w tym wypadku



Tymon Niesiołowski — Krajobraz





Gruberski — Portret żony

potroszę celowe. Wystawia tu bowiem kilka ugrupowań najmłodszej sztuki o dość różnym charakterze. Nie wszyscy artyści stoją na gruncie obrazu abstrakcyjnego. Są tacy, którzy jeszcze do fazy tej nie doszli — są inni, którzy już ją przewarścili i wychodzą poza obraz abstrakcyjny, wnosząc jednak w swe obrazy przedmiotowe wszystkie te zdobycze, które osiągnęli w swej, tak u nas brutalnie i bezmyślnie potępianej — fazie abstrakcyjnej. Trudno tu się rozwodzić poraz dziesiąty nad tem, że obraz abstrakcyjny jest tylko pozbawiony tego wszystkiego, co w obrazie przedmiotowym może być czemś bardzo pięknem i pożądanem, ale co w obrazie wogóle nie jest niezbędne. I jeżeli malarz abstrakcyjny — konstruktywista, lub suprematysta — łączy ze sobą kilka kolorowych płaszczyzn, podpisuje „kompozycja” i posyła to na wystawę (Stażewski, Malicki, Strzemiński i in.) — to nie są to „kpiny z publiczności” albo „bolszewizm,” ale częstokroć świadoma i poważna praca, której cel jest po większej części ten sam, co najbardziej „przyzwoitych” obrazów przedmiotowych: rozwiązanie jakiegoś zagadnienia kolorystycznego, albo formalnego. A wzamian za zręczenie się łatwej i płytkiej przyjemności, płynącej z ewokacji znanych przedmiotów — widz doznaje radości czystej skondensowanej barwy, doskonałych konstrukcyj form, kształtu, — to wszystko oczywiście, jeżeli obraz jest dobrze namalowany.

Malarze grupy „Formistów,” jak sama nazwa ich wskazuje, stawiają sobie przede wszystkim zadania formalne.

Nie odrzucając przedmiotu, jako takiego, starają się wyluskać z niego to, co jest niejako jego „zasadą formalną.” Do najlepszych obrazów z tej grupy należą prace Zalewskiego (zwłaszcza autoportret), „Kompozycja” Zaruby. Zupełnie oddzielnie stoi Rom Kam. Witkowski, którego świetny temperament malarski, cudowny rozmach i nawskroś swoiste podejście do przedmiotu — czynią jedną z najciekawszych indywidualności artystycznych na naszym dość, niestety, jałowym gruncie. To jest także malarz z tych, którzy, jak się to mówi, „mają kolor w końcach palców.”

Ciekawe projekty mebli Lacherta i Stażewskiego, projekty architektoniczne Lacherta, Szanajcy i Niemojewskiego, architektura wnętrz Syrkusa sprawiają między innymi, że człowiek wychodzi z wystawy, nastawiony raczej dodatnio, żalując tylko, że „modernizm” polski jest zbyt słaby liczebnie i wskutek tego może zbyt jednostronnie rozwinąć.

l. j.



Borzobohata-Woźnicka — Głowa





## ODRODZONY SEJM W SZACIE Z MARMURU

Ciasna, duszna, a „bezduszna“ była sala obrad dawnego Sejmu. Gmach, niegdyś siedziba Instytutu dla młodzieży szlacheckiej, po 63 r. zdany na pastwę rusyfikacji, jako Maryjski Instytut Panien—dźwigał na sobie brzemień dziedzicznych obciążeń niewoli.

Ileż razy zdarzyło mi się błądzić w tym labiryncie szkolnych sal i korytarzy, tyleż razy snuł się za mną cień „Płomyka“ Eugenji Żmijewskiej; paliły mnie oddechy tych młodych, dawno już zgasłych płuc, które usiłowano nasycić morowem powietrzem wynarodowienia. Obecny Sejm szczęśliwszy będzie od poprzedniego. Otworzą się przed nim nietylko olbrzymie perspektywy owocnej działalności, ale i wspaniałe wnętrza sali, godnej najlepszych wybrańców narodu. Zasługa to głównie prof. Skórewicza, którego koncepcja śmiałością pomysłu, harmonią kształtów i klasyczną powagą przerasta wszystko to, co stworzono u nas w ostatnich czasach w dziedzinie budownictwa reprezentacyjnego.

Chwila, kiedy dane mi było zwiedzić ten olbrzymi amfiteatr, w którym mają się rozgrywać losy narodu, to moment najwyższego napięcia ostatecznych robót. Zgrzyt pił, huk młotów, zgiełk wytężonej pracy fizycz-

nej wypełniał to wnętrze półkolistego kotła, w którym lada dzień zawrze niemniej wytężona praca mózgów i serc.

Wspaniały symbol zespolenia wszystkich sił i wartości państwa! I oto zdaje mi się raptem, że nie jestem w gmachu sejmowym, ale w grocie króla gór, w zaczarowanym kamieniołomie, z którego wyrastają smukłe i proste kolumny myśli konstrukcyjnej. Nad głowami naszymi olbrzymia kopuła przesiewa światło dnia przez sito płyt kryształowych, a wokół nas marmury, marmury, marmury... Bronzowo-płowe z liljowym odcieniem, żyłkowane różowo i fioletowo, mają w sobie ciepło i jędrność żywego ciała. Nie kamień, owoc raczej, nalewający się sokami w promieniach marcowego słońca.

Z zadumy wyrывa mnie głos prof. Skórewicza.

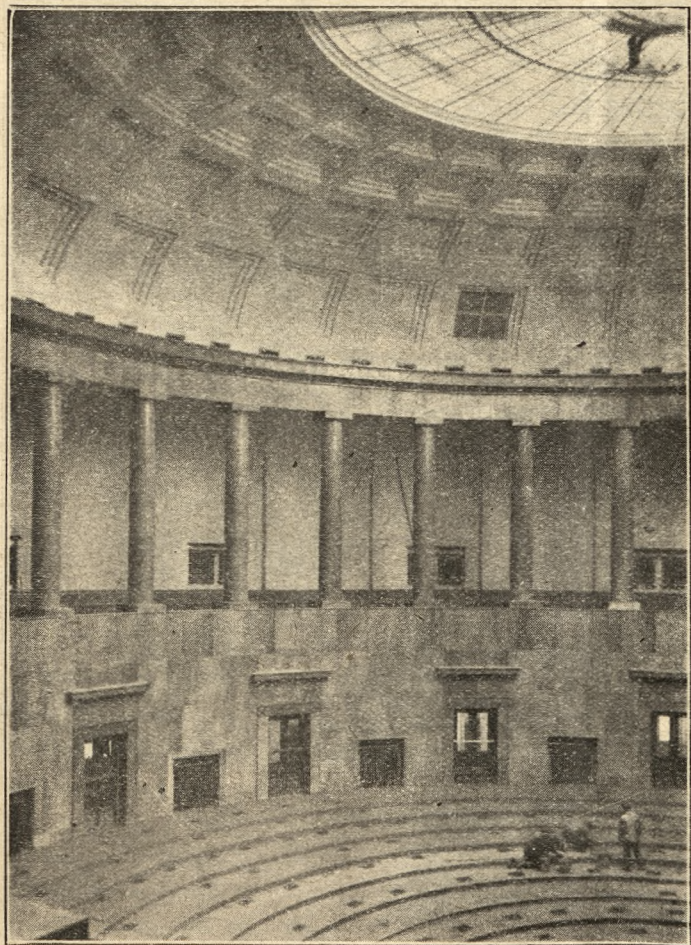
— Widzi pani, to wszystko nasze kieleckie marmury. Ambicją moją było wzniesć cały gmach sejmowy wyłącznie z materiałów krajowych. I dopiąłem swego. Obcy gwóźdź, obcy kamień nie miał tu dostępu. Nawet wanny i umywalnie w domu poselskim, zazwyczaj sprowadzane z zagranicy, pochodzą tym razem z naszych fabryk. I dopiero przy takiej olbrzymiej robocie można się przekonać, ile nasz kraj ma bogactw naturalnych! Choćby te marmury. Takie szlachetne w tonie, takie odrębne od olśniewających marmurów Południa! Niestety! eksploatowane ciągle w ten sam sposób, jak przed 300 laty. A przecież dzięki nim udało mi się stworzyć to, co pani widzi w tej chwili: jedyny w Europie parlament z marmuru.

— A jaką drogą doszedł pan profesor do takiej, a nie innej koncepcji architektonicznej?

— Punktem wyjścia była dla mnie myśl, że oblicze sali sejmowej powinno wzbudzić w posłach poczucie równowagi, harmonji, spokoju i skupienia. Nic w niej nie może być takiego, co by rozpraszało uwagę, wprowadzało zamęt w myślach, niepokój w uczuciach. Żadnej pstrokaczyny, żadnych zbędnych ozdób. Dlatego wybrałem materiał najszlachetniejszy, jakim rozporządzamy: — marmur, a jako formę — styl klasyczny, pozwalający na rozwinięcie wielkich płaszczyzn i majestatycznej kolumnady. Musiałem brać pod uwagę i inne możliwości sali, która, po ewentualnem przeniesieniu Sejmu do przyszłego gmachu przy Alei Sejmowej, stałaby się salą kongresową lub wykładową. W takim, czy innym wypadku powinna ona zachować poważny, monumentalny charakter.

Oby dobry genjusz wszechwładnej sugestji zamieszkał w tych murach, nadając toczącym się wśród nich obradom piętno tej samej monumentalności i powagi!

S. P. O.





PAULA ŁAMOWA

## WANDA LANDOWSKA PRZY KŁAWECINIE

Powoli budzą się ze snu stuleci ludzie rokoka; przepyszny, przebogaty niegdyś, ale dawno spłowiły koloryt barokowej epoki nabiera świeżych barw; nowe życie wstępuje nawet w dźwięki zamarłej renesansowej muzyki, która, pierwsza z zapomnianych, wydała przed wiekami ostatnie tchnienie tonów nieśmiałych, ale zdecydowanych dla swojej ery — szlachetnych, choć prymitywnych i wzruszających prostotą instrumentów o nieskomplikowanej konstrukcji.

Pył archiwalny opada z poźółkłych od starości klawiszy, ożywają „stromenti da penna“, o tonie szczypanym — pełnym, dźwięcznym głosem przemawia do nas „clavicembalo“, jakby tonom jego przysłuchiwały się te same, co dawniej, głowy, strojne w białe, trefione peruki, jakby się od czasu „ancien régime'u“, w świecie nic nie zmieniło...

Wanda Landowska gra na klawecinie, przenosi nas w odległą epokę, w którą ona jedna kunsztem swoim umiała tchnąć nowe życie, wskrzesić piękno dawnej muzyki fortepianowej, obudzić styl kosztownych cacek mistrzów klawecinu i wirginalu. Wanda Landowska od wczesnej młodości szukała pulsu w tych organizmach, przechowywanych z pietyzmem przez antykwariuszów, czyhających na amatorów stylowych sprzętów, albo strzeżonych pilnie przez archiwariuszów; wyrwała je z martwoty teorii i z miłością dla sztuki, nieznającą przeszkód, wniknęła w tajniki zapomnianego angielskiego „virginal-book“ z XVI wieku; a z licznych prototypów fortepianu upodobała sobie klawecin francuski, któremu nietylko przywróciła życie jego mistrzów, ale także wszystkich innych muzyków z epoki rokoka. A więc obok filigranowej muzyki, którą stworzyli Couperin, Rameau i Daguin, ukazały się w programie klawecinu Landowskiej ociążałe polifoniczną logiką niemieckie utwory Bachów, triumfował znów Domenico Scarlatti, z ulubionem krzyżowaniem rąk na klawjaturze, i porywał śpiewem precudnej kantyleny i morzem niewyczerpanej melodji — nieśmiertelny Mozart...

Orędowniczka dawnej muzyki poświęciła się poważnym studjom wskrzeszonej przez siebie literatury i jej instrumentu i zyskała rychło światową sławę. Wanda Landowska, Polka, urodzona i wychowana w Warszawie, zdobyła szturmem artystów i publiczność dla swojej sztuki, odległej biegunowo nietylko od muzyki współczesnej, ale wyzwolonej przede wszystkim z pod „tyranji techniki“, która stała się przekleństwem fortepianu, o wykształconej i zasadniczo różnej od klawicymbału konstrukcji. Przez długie lata rodaczka nasza święciła triumfy w swoich podróżach artystycznych, aby wreszcie stworzyć przybytek dla

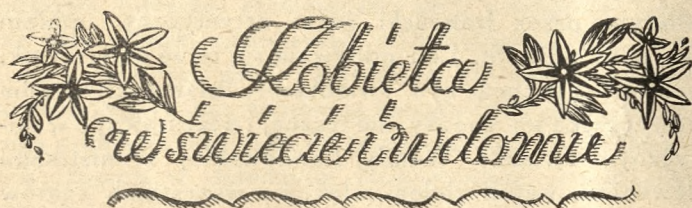
umiłowanej sztuki, urzeczywistnić marzenie całego jej życia, gorliwie poświęconego kultywowaniu odrodzonej przez nią muzyki. W St. Leu, obok Montmorency, pod Paryżem, zbudowała Landowska akademię dawnej muzyki, w której ona sama wypełnia przyjęte posłannictwo: urządza wykłady o teorii stylu dawnych mistrzów, daje pokazy interpretacji i próby starych instrumentów, o różnej nazwie i odmiennej konstrukcji; tam wreszcie odbywają się audycje dla tych, którzy, jak się wyraża Landowska, dawną muzykę naprawdę kochają. Skwapliwie zdobyte w Ameryce dolary obróciła artystka na cel o wysokiej wartości artystycznej: na sanktuarjum poważnej muzyki w przybytku, nazwanym przez francuski świat artystyczny „małem Bayreuth“. Do St. Leu odbywają się istne pielgrzymki tych, którzy chcą być świadkami zmartwychwstania niewyczerpanej wiedzy muzycznej i uczestniczyć w mistycznym związku Wandy Landowskiej z mistrzami klawecinu, wśród zieleni, słońca i wszystkich czarów



Wanda Landowska przy klawecinie.



natury, z którymi organicznie związane jest piękno tej muzyki. Bo w pierwsze noce czerwcowe słowikowi z ogrodu w St. Leu odpowie rozkoszny „Rossignol en amour” Couperina, albo „Le Rappel” Rameau, a kukułka leśna znajdzie rychło oddźwięk w pieściwem „Le coucou” Daguin’a. Tam, w Saint Leu-la Forêt, jest niepodzielne królestwo Wandy Landowskiej, otoczonej dworem wielbicieli, którzy choć na krótko uciekają przed powszedniością współczesną, aby cofnąć się w czarodziejski świat baśni, z wiarą w apostołstwo wielkiej artystki. A ilekroć Wanda Landowska ukaże się na estradzie koncertowej, strój jej, o kroju niezmiennym od lat, będzie zawsze świadectwem abnegacji wszystkiego, co jest poza sztuką i lekceważenia dla wszelkiej rzeczy, którą przynosi moda.



#### POLKI JAKO KANDYDATKI DO NAUKOWEJ NAGRODY AMERYKAŃSKIEJ

Stowarzyszenie pomocy w pracy naukowej kobiet, t. zw. „Association to aid scientific research by women” co roku, od lat 15-tu zrządu, przyznaje nagrodę najwybitniejszym uczonym kobietom całego świata.

Nagroda naukowa imienia Ellen Richards wynosi 2 tysiące dolarów. W r. 1921 otrzymała ją p. Curie-Skłodowska. Kandydatki są zgłaszane przez narodowe organizacje „Międzynarodowej Federacji kobiet z uniwers. wykształceniem”. Z pośród naszych uczonych rodaczek przedstawiono do nagrody trzy: prof. Dr. J. Jotejko, Dr. Natalję Żand. i Dr. Jadwigę Wołoszyńską. Najwybitniejszą z nich jest prof. dr. Józefa Jotejko. Imię jej głośnie jest w Belgii i we Francji, jako założycielki i dyrektorki międzynarodowego fakultetu pedagogii w Brukseli, jako redaktorki „Revue psychologique” w Brukseli (1908 — 14), oraz długoletniej, bo aż piętnastoletniej kierowniczkii laboratorium psychofizjologii w Brukseli.

W roku 1915 wykłada w Collège de France; w latach 1917-18 na uniwersytecie liońskim i w Sorbonie. Po powrocie do ojczyzny (1919) pani Jotejko pracowała na stanowisku profesorki psychologii w Państwowym Instytucie Psychologicznym w Warszawie oraz dyrektorki laboratorium psychologicznego, do chwili zamknięcia Instytutu (r. 1925); od tego czasu prof. Jotejko jest redaktorką Polskiego Archiwum Psychologii, a od roku 1925 docentką Uniwersytetu Warszawskiego.

Dr. Józefa Jotejko jest autorką przeszło 200 prac z dziedziny psychologii, pedagogii i psychofizjologii.

Uczona nasza odznaczona była wielokrotnie tytułami naukowymi i nagrodami w kraju i zagranicą.

Dr. Jadwiga Wołoszyńska jest wybitną znawczynią algologii (nauki o glonach). Do najciekawszych jej prac w tej dziedzinie należą prace o planktonie jezior jawańskich i jez. sfrykańskiego Wiktorji.

Cały szereg gatunków i rodzajów, opisanych przez naszą rodaczkę, został przyjęty przez naukę wszechświatową.

Dr. Natalja Żand jest znaną badaczką w dziedzinie neurologii. Liczne jej i cenne prace naukowe zwróciły na siebie uwagę obcych uczonych, przynosząc wiele zupełnie nowych poglądów.

Aczkolwiek o zdobyciu nagrody naukowej będzie się ubiegało kilkanaście narodowości, możemy być spokojni, że kandydatki nasze godnie będą reprezentowały na szerokim świecie poziom nauki polskiej.

#### LUDNOŚĆ TURKIESTANU PRZECIWKO EMANCYPANCJI SWOICH KOBIET

W Turkiestanie wre...

Mord i katowanie kobiet są na porządku dziennym. Władze sowieckie wydały zarządzenie, aby wszystkie kobiety, zamieszkujące ziemie Turkiestanu, ukazywały się na ulicach z odsłoniętymi twarzami.

Kobiety zaczęły korzystać ze swobody, ofiarowanej im wspólnymyślnie przez bolszewików... lecz wśród ludności mahometańskiej zakotłowało się.

Zarządzenia władz sowieckich spowodowały niesłychane wprost ofiary fanatyzmu. Uformowały się samorządnie tajne związki nacjonalistyczne pod hasłem: „Śmierć kobietom, sprzeniewierzającym się przepisom religijnym”

Pogroźki przeszły, w prędkim czasie, w czyn.

Pierwszą ofiarą padła młodziutka, piękna dziewczyna, której zadano kilkanaście cięć sztyletem przez twarz, szpecąc ją na całe życie. W pewnej wiosce mąż, przy pomocy krewniaków, zamordował własną żonę za to, że odważyła się pójść przeciwko „przykazaniom Mahometa”. W innej rodzinie pięćdziesięcioletni mężczyzna udusił młodą żonę za to, że wyszła bez jego pozwolenia na miasto po zakupy...

Wśród kobiet turkiestańskich zapanowała zrozumiała panika. Młode i odważne nie chcą ustąpić: z narażeniem życia ukazują się z odsłoniętymi twarzami i a mieście — starsze i słabsze rezygnują z tych ryzykownych prób.

Władze sowieckie, widząc, że reformy obyczajowej nie można przeprowadzić na poczekaniu, cofnęły rozporządzenie i zagroziły rozstrzelaniem nie tylko sprawcom mordu, ale i wszystkim współnikom zbrodni.

Zastosowano już w kilku wypadkach karę śmierci, lecz wrzenie wśród mas nie ustaje.

Emancypantki giną śmiercią męczeńską z rąk swych rodaków za odwagę wcielenia w życie równouprawnienia. H. S.



Udekorowanie p. Małowskiej, żony profesora uniwersytetu i b. ministra, krzyżem „Polonia Restituta” przez Komisarza Rządu, p. Jarożewicza.



## WSPÓŁŻYCIE Z LUDŹMI, JAKO KONIECZNOŚĆ ŻYCIOWA

Nawet raj nie był człowiekowi rajem, dopóki błdził po nim samotnie! Właściwością natury człowieka jest to, że pragnie on dzielić z innymi ludźmi swoje wrażenia, smutki i radości, żąda od nich oceny swych czynów, chce współzawodniczyć z nimi w zdobywaniu nowych wartości, chce działać dla czyjegoś pożytku lub szkody, popisywać się przed kimś rezultatem swoich wysiłków — słowem, musi czerpać chęć do działania w ustosunkowaniu siebie do innych ludzi. Bez tych pobudek zewnętrznych, wywołanych czy to chęcią służenia innym, czy imponowania im swoją większą sprawnością umysłową lub fizyczną, potrzebną do przewycięzania trudów i zdobywania zamierzonego celu, czy też potrzebą poświęcenia się dla szczęścia i wygody bliźnich — człowiek nie byłby zdolnym do żadnych wysiłków. Pozostawiony samemu sobie, zabiegałby jedynie o rzeczy konieczne do zaspokojenia potrzeb, służących do podtrzymania jego egzystencji, a podyktowanych jedynie przyrodzonym instynktem życia, instynktem samozachowawczym.

Miłość własna i płynąca z niej ambicja, a obok niej instynkt przedłużenia rasy — to najsilniejsze pobudki do pracy, do przewycięzania trudności — to możność „mierzenia czynów na zamiary“, to tajemnica doskonalenia się człowieka, tajemnica postępu i ciągłego dążenia wwyż.

Człowiek jest zwierzęciem towarzyskim — według określenia greckiego filozofa Platona. Choć samotność pożądana mu jest niekiedy, choć ciągle przebywanie z innymi ludźmi męczy go i zmusza do chwilowej od nich ucieczki, to jednak wrodzona potrzeba towarzystwa pcha go napowrót do ich grona i skłania do obcowania z nimi. Współżycie z ludźmi, jak wszystko, co tworzy człowiek, nie jest doskonałym, ma swoje dobre i złe strony, to też staje mu się ono częstokroć zarówno źródłem szczęścia, jak i niedoli. „Homo homini lupus“, — człowiek bywa człowiekowi wilkiem: wyrządza mu nieraz krzywdę, pastwi się nad bliźnim swoim z okrucieństwem, do jakiego żadne zwierzę nie jest zdolne; rozumu używa na wynajdywanie sposobów zadawania cierpień bliźniemu, wyrafinowany jest w stosowaniu tortur, szarpiących bólem nie tylko ciało, ale, co gorzej, gnębiących duszę. Z drugiej jednak strony człowiek bywa człowiekowi oddanym przyjacielem, może mu być pocieszycielem w nieszczęściu, opiekunem w chorobie, wiernym towarzyszem trudów, podporą w ciężkich chwilach życia, bodźcem do czynów, przerastających zwykłą miarę; może być natchnieniem artysty, może mu, jak Wirgiljusz, towarzyszyć w wędrówce przez piekło i, jak Eurydyka, z tego piekła na świat wypro-

wadzić, lub, jak Prometeusz, dla oddania innym przysługi, na wieczne skazać się cierpienia.

Rola, jaką odgrywa człowiek w stosunku do otaczających go współbraci, zależna jest od jego osobistych wartości moralnych, a więc od charakteru, wrodzonych popędów i usposobienia jego intelektu i upodobań, środowiska, w jakim wzrastał i dojrzewał, wychowania, jakie otrzymał. Modyfikuje się ona względnie do warunków przyrody danego kraju, do stopnia kultury i cywilizacji jego mieszkańców, do całokształtu jego społecznego ustroju. Tam, gdzie bogactwa naturalne zajmowanego przez ludzi obszaru ziemi z łatwością zaspokajają ich niewymyślne potrzeby, — stosunki ludzkie układają się bardzo prosto. Dziko rosnące jagody i owoce, ryby, złowione w rzecce, i upolowane zwierzęta dostarczają człowiekowi pożywienia i odzieży; wszystko tu należy do wszystkich, każdy ma prawo wziąć, co mu potrzebne, nie narażając się na protest z niczyjej strony, bo wszystkiego jest pod dostatkiem, i bez troski o dzień jutrzejszy żyć można!

Sielanka ta jednak nie trwa długo. Nierówne zdolności wrodzone wytwarzają już i na tym prymitywnym poziomie pewne różnice pomiędzy ludźmi. Myśl twórcza, dążąca do zdobycia łatwiejszych sposobów zaspokajania potrzeb, wyrządza współzawodnictwo i budzi w duszy współzawodników uczucie zawiści. Rodzi się w człowieku chęć zawładnięcia tem, co jest rezultatem pracy bardziej uzdolnionej jednostki i przez tę właśnie pracę nabrało specjalnej większej wartości, co z bogactwa naturalnego stało się bogactwem gospodarczym, dostępnem jedynie dla wybranych, przerastających ogół inicjatywą, siłą, energią i wytrwałością. Praca zwiększa wartości rzeczy, czerpanych wprost z przyrody, uczy te rzeczy cenić, pożądać ich i chronić przed zaborczością cudzą, stwarza więc własność prywatną. Praca zatem jest tworzywem, które ustrój komunistyczny przekształca na kapitalistyczny.

Człowiek, świadomy włożonego w rzecz wytworzoną wysiłku, chce wyłączyć rzecz tę z ogółu dóbr, z których korzystał pospół z innymi i chce ją zachować dla siebie i tych jedynie, z którymi wiąże go specjalny sentyment. Prywatna własność każe grupować się około siebie ludziom najbliższym sobie skłonnościami i w ten sposób z ogólnej masy bytujących razem wytwarza poszczególne zespoły mniejsze, ale bardziej zwarte, daje początek właściwej rodzinie, wytwarza specjalne interesy, troski i radości grup poszczególnych. To rozbiecie ludzi, żyjących dotąd wspólnym życiem, na poszczególne, nieliczne stosunkowo, grupy nie zrywa jednak wszelkich ich węzłów z całością.

Praca, wymagająca wysiłku, przerastającego siły jednostki, niebezpieczeństwo w walce z siłami przyrody, wrogimi człowiekowi, lub zakusy innych ugrupowań ludzkich na wspólną własność, należąca do



danej grupy—łączyć się im każe. Wspólny wysiłek, wspólny obowiązek, wspólny cel, do którego dążą, węzły te zacieśnia, budzi poczucie przynależności do danej grupy, w przeciwstawieniu do innych, im wrogich, lub tylko odległych i niczem niezwiązanych; daje więc początek związków plemiennych i narodowych, a zarazem rodzi uczucia patryjotyczne, nienawiść i instynkty zaborcze względem inoplemieńców, często każe zapominać, że są także ludźmi, istotami o pokrewnych instynktach i uczuciach, potomkami odległymi wspólnych całemu rodowi ludzkiemu rodziców.

Własność prywatna i uczucie miłości dają początek stosunkom rodzinnym, a wrodzony instynkt towarzyski, praca społeczna i walka z wrogiem zewnętrznym—skłaniają człowieka do szerszego współżycia z ludźmi, do wymiany z nimi myśli i uczuć, do uczestniczenia w zbiorowych wysiłkach, uroczystościach, towarzyszących różnym wydarzeniom życia, a więc do wspólnej pracy i zabawy.

W miarę gospodarczego i kulturalnego rozrostu plemienia, a potem narodu, jego stosunki wewnętrzne, zarówno jak i stosunki do ugrupowań sąsiednich, podlegają coraz większym zmianom, stają się coraz zawilsze, coraz bardziej skomplikowane, coraz większej wymagające ostrożności i umiejętności postępowania. Sztuka współżycia z ludźmi staje się wtedy umiejętnością, wymagającą specjalnych studiów i specjalnych w tym kierunku zdolności. Dyplomacja — to gałąź wiedzy, dostępna dla tych jedynie, co naturę ludzką znają w jej najtajniejszych odruchach, co potęgą słowa umieją duszę ludzką poruszyć do głębi, argumentami przekonać o słuszności danej sprawy i o wynikających z niej korzyściach, co zjednać sobie potrafią ludzi gładkością form w obcowaniu z nimi, sympatycznym wyglądem zewnętrznym i życiowością, choćby niezawsze szczerą, ale zawsze miłą dla otoczenia.

Sztuka zjednywania sobie ludzi i umiejętnego z nimi współżycia jest jednak umiejętnością, którą w pewnym stopniu każdy człowiek osiąść musi i stosować nieustannie w życiu, której uczy się od kolebki, bo wymaga jej każde zetknięcie się jego z otoczeniem. Rodzina jest tą szkołą, w której zdobywa najpierwsze na tem polu wiadomości, najpierwsze doświadczenie, najpierwsze, i to niezawsze najslodsze, owoce poznania. W rodzinie uczy się człowiek od chwili, kiedy już myśl w nim kiełkować zaczyna, że nie wszystko mu wolno, że prawa jego kończą się tam, gdzie zaczynają się prawa drugiego; że ustępować trzeba na rzecz cudzą, że za wykroczenia przeciwko pewnym przepisom ponosi się przykre skutki.

Rodzina sama, jako punkt wyjścia dla społecznego bytu, przygotowuje ludzi do ich społecznych obowiązków, uczy ich współżycia z innymi przez

obcowanie dzieci z rodzicami, rodzeństwem i domownikami w pierwszej linii, a przez stykanie się z kołem przyjaciół, krewnych i znajomych—zaprawia do dalszych stosunków z otoczeniem.

L. Gerlachowa.



## UCZCIWOŚĆ ZAWODOWA

(Dokończenie)

Jest jeszcze u nas jeden, dziwnie nienormalny, a ogólny przejaw: to wadliwe pojęcie o zobowiązaniu. Przejaw ten spotykamy, niestety, na każdym kroku. Mamy większe odsetki tych, co umieją żądać, niż tych, co poczuwają się wzajemian do zaciągniętych zobowiązań, a jeszcze mniejsze—tych, którzy te zobowiązania wypełniają.

O przykłady nietrudno. Każdy w swym najbliższym otoczeniu znajdzie ich poddostatkiem: tak tych, jakie obciążają jego własne sumienie, jak i tych, które jemu wyrządzają moralną, lub materialną krzywdę.

Gdy piszę te słowa, zarysowuje mi się w pamięci niedawne przeżycie. Kupuję obuwie stale w jednym i tym samym sklepie. Kiedyś dostałam w prezencie skórę zamszową, którą zanieśli do tego przyjaźnionego magazynu z prośbą, aby mi z niej zrobiono pantofle. Ponieważ pasowała doskonale do świeżo wykończonej sukni, zależało mi na szybkim wykonaniu obstalunku. Termin wyznaczony przewlekać się zaczął wprost niemożliwie. Z jednego tygodnia powstały dwa, potem trzy, aż po miesiącu wyczekiwania dostałam owe nieszczęsne pantofle. Rozdrażniona objawem takiego lekceważenia, odpowiedziałam na nie wystawieniem czeku, którego data opiewała termin, równający się zwłoce, na jaką byłam narażona, sądząc, że postąpiłam prawidłowo i uczciwie, albowiem zbyt nieuzasadnionej tolerancji upoważnia do dalszych ujemnych doświadczeń i demoralizuje. Właściciel magazynu był jednak wprost przeciwnego zdania. Oświadczył mi najkategoryczniej, że wykreśla mnie z rzędu swoich klientek, nie pragnąc nadal być z taką osobą w stosunkach handlowych.

Inny przykład: kupuję pończochy w sklepie z konfekcją na raty. Płacę drogo (jedwabne). Po jednym włożeniu pończochy pękają w kilku miejscach, mimo trzyletniej (!) gwarancji. Ratę jednak muszę zapłacić. Obstalowuję meble u stolarza podług załączonego projektu. Stolarz zmienia go według swego widzimisię—a za poprawkę muszę dopłacić. Adwokat przewleka mi sprawę... „bo właśnie nie zdążył...“ Biuralistka spóźniła się do zajęcia po balu, ważna depesza nie dojdzie na termin—i interes jest wpakowany na parę tysięcy. Szef obiecuje podwyżkę od przyszłego miesiąca — na tę intencję pracownik rozszerza



skalę mizernego życia — podwyżka zostaje ad libitum odsunięta. Suknia ma być gotowa na czwartek, a nie ujrzy się jej, aż w przyszłym tygodniu i t. d. i t. d. Słowem — szereg partactw we wszystkich dziedzinach.

Spróbujmy zbadać przyczyny tych zjawisk. Niewątpliwie jedną z ważniejszych będzie gorączkowe tempo życia powojennego, oplatającego każdą najskromniejszą egzystencję gęstwiną spraw, z których każda ma pierwszeństwo w kolejce. Niewycwiczonej od dzieciństwa woli, niedość wyrobionej planowości charakteru dzisiejszego człowieka życie rzuciło na barki szereg nieskoordynowanych ze sobą komplikacji „Życie jest zawile!” — powiedziała raz z westchnieniem jedna moja śliczna znajoma, przymierzając w sklepie piętnasty z rzędu kapelusz; a to osoba, której życie nie przekraczało zakresu takich właśnie modniarsko-towarzyskich spraw. Darujmy jej groteskowość tego wyrażenia i wyobraźmy sobie, że poza temi (bez żartu — „zawilemi”) sprawami los dodał jej, powiedzmy: a) troski materialne, b) słabe zdrowie, c) kilka osób w rodzinie, które należy obsłużyć. Wyobraźmy sobie, że osoba ta zostaje otoczona lasem: terminów płatności, godzin przeróżnych zebrań, obowiązkami wniknięcia w każdą dziedzinę życia najbliższych, no i tem wszystkim, co każdy z nas dźwiga: rojem mikroskopijnych drobniactw życiowych, z których każdy, załatwiony pomyślnie, nie daje efektu — opuszczony, lub nawet tylko spóźniony, — odezwie się zaraz nieprzewidziane groźnym wynikiem. Życie dzisiejsze wymaga ciągłej postawy na baczność, i wystarcza obluźowanie się jednego z niedość nawykłych do dyscypliny mięśni, żeby cały przemyślany planowo, pokratkowany dzień poszedł na marne. Właśnie to nasze nieskoordynowanie z przyspieszonym tempem życia jest gruntem najpodatniejszym do rozwinięcia takich cech, jak: niepunktualność i niesłowność, tak blisko, tak bezpośrednio graniczących z nieuczciwością. Z ręką na sercu każdy z nas jest dziś nieuczciwy choć trochę, choć bardzo maluczko!

Wniknijmy jeszcze w genezę tych nieuczciwości. Pilnie obstalowuję pantofle — na czas mi ich nie odnoszą. Szewc jest już trochę złodziejem moich pieniędzy i czasu. A ile czasu zabrały mu klientki, które same nie wiedzą, co wybrać, zawracają mu głowę, nie przychodzą w porę do miary, nie odnoszą pieniędzy? W rezultacie nie szewc, ale właśnie siostrzyczka-klientka podstawiała mi nogę. To samo z bielizniarką, krawcową, praczką i t. d. To samo z księżką, wziętą z czytelnicy, której się w porę nie odda i oczekuje przedawnienia, jak deski ratunku. To samo z terminem spotkania w tym, czy innym interesie, spóźnioną o 5 minut rozmową telefoniczną — ciągnącą za sobą nieobliczalne skutki, z pieniędzmi, pożyczonymi do „jutra”, niestawieniem się na zebranie, nieodpisaniem na list, niedotrzymaniem obietnicy, danej zbyt lekkomyślnie. Łańcuch zawsze ten sam. Lekkomysłność, niesłowność i wśląd — nieuczciwość.

Granice tych pojęć są płynne. Drobny atom nieuczciwości w lekkomyślnym postępku rozrasta się w rezultacie w brutalnie powiedziawszy — złodziejstwo. Jako skutek: przerywany, nierówny bieg życia społecznego — niezadowolenie, depresja jednostek.

Faktów takich na naszą niekorzyść jest legion, a bolączka, której źródło leży w braku obowiązkowości i uczciwości zawodowej (każdy z nas jest zawodowcem) okazuje się poważniejszą, niż to na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło. Po ciągach, jakie daje nam życie, dochodzimy do wniosku, że jedyną wytyczną, dającą równowagę, spokój i poczucie siły, jest w każdej dziedzinie, tak moralnej, jak i materialnej — uczciwe spełnienie obowiązku. Świadomość ta, niestety, przychodzi nieraz tak późno, że brak już czasu na odbudowanie życia i na odnalezienie samego siebie! Dlatego też pierwszą i najważniejszą rzeczą dla tych, którzy kształtują młodociane istnienia, powinno być wszczepianie w duszę i serca pokoleń, co idą po nas, zrozumienia i docenienia tej podstawowej prawdy życiowej. Bez niej przepaść muszą jednostki, rodziny i społeczeństwa, przepaść muszą tak w rozumieniu etycznym, jak i ekonomicznym.

Duży procent braku uczciwości zawodowej złożyć można na barki nienormalnego wychowania młodzieży, które obecnie weszło szczęśliwie na tory zbawienne.

Nie było dnia, nie było godziny, aby nie poszła w świat jednostka, nieprzygotowana do życia, nie uzbrojona przeciwko wszystkim okrutnym jego niespodziankom. Z wychowanej w dostatku i rozleniwiającym zbytku panny — rzadko kiedy doczekało się społeczeństwo pracownicy uczciwej, rozumiejącej swą odpowiedzialność — nigdy — fachowej. A ta przysłowiowa fortuna, co tak nielitościwie kołem się toczy, zmuszała niejednokrotnie wypieszczone dłonie i strojne w koronki wątle ramiona do dźwigania ciężaru odpowiedzialności za byt całej rodziny. Stąd powstały zastępy wykolejonych, nieudolnych, ożywionych nawet nieraz najlepszymi chęciami, lecz niedorosłych do wcielenia ich w czyn, pracownicy. Stąd brudne pensjonaty, źle i niedbale wydawane obiady, amatorskie wytwórnice, niepunktualne, oparte na wadliwej lub zgoła na braku kalkulacji; wysiłek, nie dający żadnego dobrotku, i konieczny brak tej właśnie, najcenniejszej, uczciwości zawodowej.

Te, które przyjdą po nas — o mocnej woli, lepiej przystosowane do życia, wykształcone fachowe i miłujące swój zawód — wniosą ze sobą niezawodnie w życie poczucie swych praw i obowiązków, stwarzając tem samem nową erę, w której etyka nie stanie na ostatnim planie. A zatem, powtórzmy za francuskim polemikiem, pełni wiary w jutro, co stoi już u progu: Uczciwość zawodowa nie umarła: — jest, niby dusza w odlocie, która jednak zawróci w pół drogi.

W. D.



R. PELANTOWA

## WYCHOWANIE NOWOCZESNEJ GOSPODYNI

(„Nowe Prace” R. VIII. Nr. 6 i 7 — z upoważnienia inż. K. H.)

Nie mogę w krótkim artykule wyliczyć, jak się dba w poszczególnych państwach o wychowanie gospodyni, robię tylko wzmiankę o najbardziej postępowym państwie: o Ameryce.

Amerykanek wprowadza się w obowiązki gospodyni już w szkole powszechnej, gdzie uczy się ją praktycznie rozmaitych podstawowych zajęć domowych i pielęgnowania dzieci. Szersze wiadomości nabywa się w szkole średniej. I chociażby to była szkoła czysto teoretyczna (jak gimnazjum, liceum), ma dla dziewcząt obowiązkowe kursy gospodarstwa domowego i wychowania dzieci, teoretyczne i praktyczne. W ostatnich czasach w dziennikach ukazują się artykuły, domagające się aby i chłopcom dać możliwość nauczania się w szkole pierwszych zasad gospodarstwa domowego, aby, jako dorośli mężczyźni, lepiej rozumieli i oceniali pracę kobiet.

W każdym większym mieście są specjalne szkoły średnie gospodarstwa domowego (rodzaj naszych „szkół rodzinnych”), w których dziewczęta otrzymują wykształcenie bardzo solidne. Dla ćwiczeń praktycznych wybudowano przy szkołach wzorowo zaopatrzone domki rodzinne. Taki domek jest tem laboratorium, w którym przyszła gospodyni przyswaja sobie doskonale wszystkie wiadomości gotowania, sprzątnia, urządzenia mieszkania, przechowywania i konserwowania artykułów spożywczych, oraz ogrodnictwa, a małe gosposie zwiijają się, aż miło na nie patrzeć! Nawet podczas feryj „mieszkanie” nie jest opuszczone i uczenie zmieniają się przez całe wakacje kolejno w pracy domowej i ogrodowej.

Siły nauczycielskie tych szkół stoją na bardzo wysokim poziomie, muszą bowiem posiadać wykształcenie uniwersyteckie. Na uniwersytetach są specjalne wydziały gospodarstwa domowego z pięcioletnim programem. Wykłada się przedmioty, jak: fizyka, chemia, gospodarka domowa, gospodarka społeczna, biologia, pedagogika, higiena, wychowanie fizyczne, prowadzenie gospodarstwa i zakupy. Bardzo ważnymi przedmiotami są: odżywianie, dietetyka, higiena mieszkań, ubieranie i gotowanie. Naturalnie, że we wszystkich tych poszczególnych wiadomościach kładzie się specjalny nacisk na praktyczne życie, albowiem uniwersytet wychowuje nie tylko nauczycielki, ale także siły pomocnicze do prowadzenia pensjonatów, szpitali, zakładów naukowych, laboratoriów i t. d.

Każdy uniwersytet posiada dla pogłębienia wykształcenia swoich słuchaczek ogromną bibliotekę wzmiankowanych specjalności, a naukowci pracowni-

cy poświęcają się specjalnym studjom przedmiotów, które my uważamy za niezmiennające się i wypływające same z siebie. Lecz Amerykanin szuka metod nowszych, szybszych i oszczędniejszych. Niespodzianką są dla nas stroniczności książki trzynomowej, w której profesor Columbia uniwersytetu w New-Yorku rozpatruje metody prania ręcznego i maszynowego. Zbadał on cały zbiór maszyn do prania i wyliczył następnie najlepsze sposoby prania. Czyż można się dziwić, że amerykańska gospodyni bez słuchającej wypierze bieliznę w ciągu dwóch godzin bez wielkiego natężenia? Tymczasem my pierzemy, kierując się starami, wypróbowanymi i niezmiennymi metodami—cały dzień, a nawet i dłużej!

Podobnie jest i w innych działach pracy domowej. Głębokiej naukowej analizie było poddane sprzątnie mieszkania, gotowanie, prasowanie i t. d.; rachowana była ilość kroków przy pracy, badane ruchy, studjowane zmęczenie i wpływ roboty na zdrowie kobiety. Wszystkie reformy, które wprowadzają się w amerykańskim gospodarstwie, nie są to amatorskie, dyletanckie próby, ale rezultat naukowych dociekań, do których się dołączyli inżynierowie i gospodynie, ażeby stworzyć nowe gospodarstwo domowe i uwolnić kobietę od ciężkiej i nieproduktywnej pracy.

To, nad czem pracują uniwersytety naukowo, powinien sobie ogół w krótkim czasie przyswoić. Dlatego uniwersytety urządzają wystawy, wykłady, odczyty, aby każda gospodyni miała sposobność zaznajomienia się ze wszystkimi nowymi ulepszeniami, i gospodynie z najzapadlejszych ferm kształci się, albowiem po wsiach zakłada się kluby gospodyń, a uniwersytety wysyłają wykwalifikowaną robotnicę rolną, która albo wykłada w klubie, lub uczy poszczególne gospodynie, pokazując im nowe metody pracy, prowadzi studia i nabiera nowych doświadczeń. Ten szeroki zakres pracy prowadzą po największej części uniwersytety gospodarcze, które oprócz tego organizują i piśmienne kursy dla tych ferm, do których nauczycielka-pracownica dostać się nie może, lub i tam, gdzie to połączone byłoby z większymi kosztami.

(c. d. n.)





## ŚWIECONE

Upewniały mnie przed chwilą dwie zawołane gospodynie, że święcone dlatego jest bardzo kosztowne, ponieważ nigdy zgóry nie można obliczyć, ile się wyda i że bodaj najskromniejsze święcone, nie połączone z żadnym przyjęciem, lecz takie tylko, jakie rodzina, z 4—6 osób złożona, zjeść w ciągu dwóch dni może, mniej od dwustu złotych kosztować nie będzie. Dodawały, że oczywiście, ciasta upieczone się zawsze trochę więcej, aby po kawałku do przewodniej niedzieli codziennie do podwieczorku starczyło. Po wyjściu ich zabrałam się do ścisłych obliczeń i po długim kreśleniu i przekreślaniu cyfr doszłam do przekonania, że koszty przyrządzenia święconego doskonale dadzą się obliczyć, jak wszelkie inne, i że, o ile nie idzie o jakieś specjalnie wystawne przyjęcie, nie są one wcale tak olbrzymie. Szczególniej, kiedy chodzi o trunki i to o trunki zagraniczne—sumy na nie wydane mogą wynosić nie tylko setki, lecz i tysiące,—lecz tego nie można brać przy skromnych rachunkach pod uwagę. Ułożyłam jadłospis dwóch stołów świątecznych: jeden skromny, drugi—dostatni. Pierwszy—skromny, składa się:

|                                                                | zł. gr. |
|----------------------------------------------------------------|---------|
| 4 kilo szynki à 5 zł. kilo (surowej, ugotować w domu . . . . . | 20.00   |
| 4 kg. cielęciny (tylna ćwiartka) à 2 zł 80 gr.                 | 11.20   |
| 2 kg. kielbasy wieprzowej à 5 zł. . . . .                      | 10.00   |
| Placek, albo baba parzona . . . . .                            | 4.45    |
| Mazurek kruchy z polewą czekoladową . . . . .                  | 4.60    |
| Tort orzechowy, przekładany masą ponczową . . . . .            | 5.80    |
| Ćwierć kilo śliwek na kompot do cielęciny . . . . .            | —75     |
| 20 jaj na twardo i dwa kolory farb do nich. . . . .            | 3.20    |
| Barszczyk na szmalcu z szynki: 1 kg. buraków . . . . .         | —20     |
| Włoszczyzna . . . . .                                          | —10     |
| 3 butelki wina owocowego à 2 zł. 90 gr. . . . .                | 8.70    |
| 2 butelki alembiku à 3 zł. 20 gr. . . . .                      | 6.40    |
| Korzeń chrzanu . . . . .                                       | —25     |
| 10 deka musztardy na wagę . . . . .                            | —40     |
| Razem . . . . .                                                | 76.05   |

W dziale przepisów daję wszystkie tu wymienione ciasta aby zas przekonać panie, że w tej cenie każde z nich da się wykonać, podaję tutaj szczegółowy kosztorys każdego z nich, według obecnych cen warszawskich, które zapewne niewiele się różnią od cen produktów w innych dużych miastach kraju, a są wyższe od cen w małych miasteczkach i na wsi.

Na placek parzony: 1 kg. mąki 90 gr., 6 jaj 90 gr.,  $\frac{1}{4}$  kg. cukru 40 gr., wanilji za 10 gr., 20 deka masła 1 zł. 20 gr., 5 deka rodzynek 40 gr., 6 deka drożdży 30 gr.,  $\frac{1}{2}$  litra mleka 25 gr.,—razem 4 zł. 45 gr.

Na mazurek kruchy z czekoladową polewą:  $\frac{1}{2}$  kg. mąki 45 gr.,  $\frac{1}{4}$  kg. masła 1 zł. 50 gr.,  $\frac{1}{4}$  kg. cukru 40 gr.; 2 łyżki śmietany 35 gr., gorzkich migdałów za

10 gr.; na polewę: czekolady 15 deka 1 zł. 35 gr., 20 deka cukru 30 gr., szklanka mleka 12 gr.—razem 4 zł. 57 gr.

Na tort orzechowy: 8 jaj 1 zł. 20 gr.,  $\frac{1}{2}$  kg. orzechów, 2 zł., 10 deka tartej bułeczki 20 gr.,  $\frac{1}{2}$  kg. cukru 75 gr., masła do wysmarowania formy za 20 gr.; na masę do przełożenia: 2 jaja 30 gr., 20 deka cukru 30 gr., szklanka mleka 12 gr., łyżka mąki 5 gr., wanilji lub esencji ponczowej za 10 gr.; nalukier: 20 deka cukru pudru 40 gr., 1 cytryna mała 15 gr.,—razem 5 zł. 77 gr. Zamiast pieczenia cielęcej i kielbasy można kupić indyczkę za 15 złotych i upiec nieduży pasztet z cielęcej wątróbki i kawałka wieprzowiny, co wyniesie około 6 złotych. Jeżeli rodzina składa się z 4-ch osób, to i ta ilość wystarczy stanowczo na dwa dni; z cielęciną i kielbasą dosyć będzie na 5—6 osób z dobrymi nawet apetytami.

Święcone lepsze wyobrażam sobie w sposób następujący:

|                                                                              | zł. gr. |
|------------------------------------------------------------------------------|---------|
| 5 kg. szynki surowej à 5 zł. . . . .                                         | 25.—    |
| 5 kg. cielęciny (tylna ćwiartka) à 2.80. . . . .                             | 14.—    |
| Indyk duży wraz z nadzieniem . . . . .                                       | 20.—    |
| 3 kg. sztuftady (lub pasztet) . . . . .                                      | 8.40    |
| 1 kg. kielbasy krakowskiej . . . . .                                         | 6.—     |
| Na smaku szynki barszcz czerwony, (buraki, ocet i t. p.) . . . . .           | —50     |
| Z kości od sztuftady i dróbek od indyka rosół czysty (włoszczyzna) . . . . . | —10     |
| $\frac{1}{2}$ kilo śliwek na kompot do indyka . . . . .                      | 1.50    |
| Salata zielona lub włoska do cielęciny . . . . .                             | 2.50    |
| Sosjerka sosu majonezowego. . . . .                                          | 1.40    |
| 20 deka musztardy na wagę . . . . .                                          | —80     |
| Korzeń chrzanu do octu . . . . .                                             | —25     |
| 30 jaj na twardo i 3 kolory farby . . . . .                                  | 4.80    |
| Baba koronkowa . . . . .                                                     | 5.—     |
| Placek zaparzany . . . . .                                                   | 4.—     |
| Mazurek kruchy z polewą czekoladową . . . . .                                | 4.60    |
| Mazurek pomarańczowy wykwinny . . . . .                                      | 9.45    |
| Mazurek rodzenkowy . . . . .                                                 | 6.75    |
| Tort orzechowy. . . . .                                                      | 5.80    |
| Tort „Mocca“ (kawowy) . . . . .                                              | 7.60    |
| 4 but. wina krajowego 2 à 2.50, 2 à 3.50 . . . . .                           | 12.—    |
| 1 butelka wiśniowej wódki. . . . .                                           | 6.—     |
| 1 butelka czystej lepszej. . . . .                                           | 4.—     |

Razem: 150.45

Ceny ciast, które nie weszły do 1-go jadłospisu:

Baba koronkowa: 20 żółtek 3 zł., 20 deka cukru 30 gr.,  $\frac{1}{2}$  szklanki śmietanki 30 gr., 6 deka drożdży 30 gr., 40 deka mąki 40 gr., wanilji za 10 gr., 10 deka masła 60 gr., razem 5 złotych.

Mazurek pomarańczowy:  $\frac{1}{4}$  kg. mąki 25 gr., 90 deka cukru (na trzy warstwy) 1 zł. 30 gr., 20 deka masła 1 zł. 20 gr., 20 deka migdałów 3 zł. 20 gr., różanej wody za 20 gr., 3 pomarańcze à 70 gr. 2 zł. 10 gr. 1 cytryna 20 gr., 2 jabłka 1 zł., razem 9 zł. 45 gr.—



Mazurek rodzynekowy: 20 deka masła 1 zł. 20 gr. 20 deka cukru 30 gr., 6 żółtek 90 gr., 80 deka mąki 80 gr., 20 deka koryntek 80 gr., 20 deka sułtanek 1 zł. 50 gr. 1 jajko całe 15 gr., cytryna 20 gr., 5 deka migdałów 80 gr. 5 deka grubego kryształu 8 gr. razem 6 zł. 73 gr.

Tort „Mocca“: 18 jaj 2 zł. 70 gr. 40 deka cukru, pudru 70 gr., 15 deka mąki pszennej 15 gr., 10 deka mąki kartoflanej 15 gr., 10 deka kawy palonej „Mocca“ lub „Magarogype“ 1 zł. 80 gr., 20 dk. cukru 30 gr.,  $\frac{1}{4}$  kilo masła 1 zł. 50 gr., masło i bułeczka do formy 30 gr., — razem 7 zł. 60 groszy.

Sosjerka sosu majonezowego: 2 jaja 30 gr., 10 deka oliwy 80 gr., 1 cytryna 20 gr., sól, cukier, łyżka octu 10 gr., —razem 1 zł. 40 gr.

Sądzę, że ten drugi stół świąteczny nietylko starczy na liczną rodzinę, lecz da możność przyjęcia jeszcze na podwieczorek lub zimną kolację kilkunastu osób. Kwestja trunków, oczywiście, może być załatwiona inny sposób; ja uwzględniłam tylko ten kieliszek wódki, który każdy chętnie wypija przed wędlinami, i parę kieliszków wina — do słodkich ciast. Nie narzucając, oczywiście, nikomu takiego składu święconego, sądzę, że na przykładach dokładnie wytłumaczyłam, w jaki sposób obliczyć jego koszt najdokładniej, przedewszystkiem stosując wydatek do naszej możności.

Pani Elżbieta.

Otrzymujemy w taki sposób rozmaite odcienie złoci-  
sto-żółte; jeśli niteczki szafranu przykleją się do jaj, będą one jakby marmurowe. Nakoniec jeśli mamy w domu atrament czarny, fioletowy, czerwony lub niebieski, poświęcimy go trochę — wszak mówimy tu o ostatecznym braku innych barwników — i rozcieńczymy go do połowy lub nawet więcej wodą, maczamy w nim ugotowane, gorące jeszcze jaja. Otrzymamy szeregi niespodzianych zabarwień. Jaja, farbowane w czarnym, rozcieńczonym wodą atramencie, nie będą wcale czarne, tylko — zależnie od chemicznego składu tego atramentu — szare, bure, zielonawe, niebieskawe. Nie są to ładne kolory, ale zmieszane z innymi — ujdą. Oczywiście, z kolorowych atramentów otrzymamy jaja odpowiednich kolorów. Nie należy tylko długo trzymać jaj w barwiącym roztworze, gdyż atramenty te są wyrabiane z farb anilinowych, szkodliwych dla zdrowia. Szczególniej nie należy farbować w nich jaj pękniętych, lub o cienkiej, zbyt przepuszczającej barwę skorupce.

Pani Elżbieta.



## DOMOWE FARBOWANIE JAJ

W handlu są teraz rozmaite farby do jaj w proszkach, płynach, pastylkach, lakiery, brzozy it.p. Jednak czasem, gdzieś w głuchym zakątku, może się zdarzyć, że farby do jaj zabraknie, a do miasta po roztopach będzie trudno po nią posyłać. Przypominam więc sobie tutaj z lat mego dzieciństwa kilka sposobów barwienia jaj bez farb kupnych. Przedewszystkiem więc najbardziej znany — w łupinach cebuli. Jaja czysto umyte przekłada się łupinami cebuli, zalewa zimną wodą i gotuje, aż nabiorą żądanej barwy. Różne gatunki cebuli i różne ilości użytych łupinek mogą ogromnie urozmaicić odcienie: od ciemnego brzozy do jasno złocistego. Jest nawet gatunek cebuli o łupinkach purpurowych, który to odcień, przechodzący w ładny fiolet, można nadać jajom. Młode gałązki brzozy z nawpół rozwiniętymi bażkami, użyte w taki sam sposób do gotowania jaj, nadają im kolor majowo zielony. Garstka kawy surowej, zalana kilku białkami i postawiona na 24 godziny w cieple, nabiera ślicznego ciemno-zielonego koloru. Smarujemy tem białkiem jaja już ugotowane, a jeszcze gorące, i otrzymujemy śliczne marmurkowe żyłki, od najciemniejszych do blado-zielonych. Jaja ugotowane, gorące jeszcze, zamaczamy w szafranie, przygotowanym do ciast, to jest namoczonym w wódce lub spirytusie.

### MAZUREK KRUCHY Z POLEWĄ CZEKOLADOWĄ

Dwadzieścia pięć deka masła utrzeć na śmietanę, dodać dwadzieścia pięć deka cukru, ucierać dalej, aż masa narośnie; dodać półkwaterek dobrej śmietany, wciąż ucierając, dalej wsypać kilka utartych gorzkich migdałów, nakoniec pół kilo suchej mąki pszennej, wyrobić ręką doskonale i wynieść na chłód. Po godzinie rozwałkować ciasto na wydłużony czworokąt, grubości pół centymetra, przełożyć na blachę, posypać mąką i upiec w średnio gorącym piecu do lekkiego zrumienienia. Tymczasem ugotować polewę z dziesięciu deka czekolady, dwudziestu deka cukru i szklanki mleka. Mieszać pilnie, by się nie przypaliło. Dodać łyżeczkę od herbaty masła. Próbować, puszczając kroplę na spodek. Gdy się nie rozlewa — gotowa. Gorącą poleć ostudzony mazurek, cienko ją nożem rosmarowując — zastyga natychmiast.

### PLACEK ZAPARZANY

Ćwierć kilo suchej, przesianej mąki sparzyć pół litrem (lub nieco mniej) wrzącego mleka, wybijać i ucierać drewnianą łyżką, aż ciasto stanie się zupełnie gładkie. Sześć deka drożdży rozprowadzić paroma łyżkami pozostawionego letniego mleka, wybić doskonale, postawić w cieple, aby podrosło. Sześć żółtek utrzeć do białości z dwudziestu pięcioma deka cukru,



dwadzieścia deka masła sklarować. Gdy ciasto ruszy, wsypać trzy ćwierci mąki, dodać żółtka, utarte z cukrem, łyżeczkę od kawy soli, całowy kawałek wanilii, utłuczonej z łyżką cukru, wyrabiać doskonale; gdy ciasto już od rąk odstawać zaczyna, wlać letnie masło i dodać pięć deka rodzynek-sułtanek. Wyrobić raz jeszcze, co już trwa niedługo, наконец dodać ubite na sztywną pianę białka; przełożyć do form, wysmarowanych masłem, postawić w cieple, aby powtórnie podrosło. Gdy już na palec nie dochodzi do brzegów formy, wstawić w piec. Zamiast form płaskich, możemy to ciasto upiec w dużej formie glinianej, od bab, zawsze nakładać ciasta tylko trzecią część formy. Baba siedzi w piecu godzinę, placki—najwyżej trzy kwadransy. Próbować cienkim patyczkiem: gdy czysty, ciasto ma dosyć. Wyjmować z form ostrożnie, jak każde ciasto parzone.

### TORT ORZECHOWY

Oczyszczyć z łupin pół kilo włoskich orzechów i zemleć na maszynce jaknajdrobniej. Osiem żółtek utrzeć do białości z pół kilo cukru, dodać utarte orzechy, około dziesięciu deka tartej bułeczki. Ciasto nie powinno być zbyt gęste; gdyby bułeczka była bardzo sucha, można bez szkody dla ciasta dolać parę łyżek mleka. Wyrobić masę doskonale. Dodać ubite na sztywną pianę białka, wymieszać ostrożnie, przełożyć do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką formy tortowej, lub Prodigé, upiec, próbując patyczkiem, jak zwykle. Nawpół gorący wyjąć z formy i ostudzić. Dnia następnego przekrajać na płask ostrym nożem i przełożyć masą następującą: Dwa jaja całe utrzeć do białości z dwudziestoma deka cukru, wlać szklankę mleka, łyżkę mąki pszennej, postawić na ogniu i ogrzewać, wciąż mieszając, aż masa zgęstnieje. Przestudzoną przełożyć tort. Dla zapachu dodać do masy cał utłuczonej wanilii, lub też esencji ponczowej. Kto lubi tort soczysty, może oba krążki skropić szklanką mocno ocukrzanej wody z dodatkiem łyżeczki esencji ponczowej. Na lukier utrzeć dwadzieścia deka cukru-pudru z sokiem z niedużej cytryny, lub paroma łyżkami różanej wody. Gdy lukier gładki i przezroczysty, dodać kilka kropel esencji ponczowej, posmarować tort cienką warstwą lukru, wsunąć na parę minut do letniego pieca, aby się lukier zeszklił.

### BABKA KORONKOWA

Dwadzieścia deka cukru-pudru i dwadzieścia żółtek ubijać mocno i długo, aż zbieleją i zgęstnieją; dodać sześć deka drożdży, rozpuszczonych w pół szklance śmietanki, czterdzieści deka najlepszej, przesianej mąki, łyżeczkę od kawy soli, kawałek utłuczonej z cukrem wanilii. Ubijać pilnie pół godziny. Dodać dziesięć deka sklarowanego masła i ubijać drugie pół godziny. Postawić w cieple dla podrośnięcia. Formę do bab wysmarować masłem, wysypać bułeczką, ogrzać dobrze, aby wlane do zimnej formy ciasto nie opadło. Przełożyć ciasto do formy. Nie powinno go być więcej, niż trzecia część formy. Dać podrosnąć powtórnie, pilnie strzegąc od przeciągów i wstrząśnienia. Gdy narośnie prawie pełna forma, wstawić ostrożnie do dobrze gorącego pieca: najlżejsze wstrząś-

nienie może ciastu zaszkodzić. Po godzinie próbować, jak zwykle, ostrym, cienkim patyczkiem; może jednak potrzebować i pięciu kwadransy, a nawet trochę więcej, jeżeli forma gliniana, a piec niebardzo gorący. Ostrożnie z formą położyć bokiem na poduszkę, przykrytą papierem. Co kwadrans przewracać, aby boków sobie nie odleżała. Gdy nawpół przestygnie, ostrożnie wyłożyć na poduszkę. Jeżeli chcemy ją ulukrować, co dla bab jest właściwie zupełnie zbędne, musimy ją pociągnąć nazajutrz lukrem szklistym ponczowym, podanym przy torcie orzechowym.

### MAZUREK RODZYNKOWY

Utrzeć na masę dwadzieścia deka masła, tyleż cukru, sześć żółtek na twardo ugotowanych, dolać szklankę dobrej śmietanki; mąki wsypać tyle, aby ciasto było wolne (około osiemdziesięciu deka). Gdy ciasto gładkie, dodać dwadzieścia deka koryntek czarnych, tyleż sułtanek jasnych; dla zapachu skórkę, otartą z całej cytryny. Wymieszać doskonale, rozciągnąć na grubość palca na blasze, wysmarowanej masłem, posmarować jajkiem, posypać migdałami, krajanami w paski, i grubym kryształem. Upiec w miernie gorącym piecu.

### TORT KAWOWY „MOCCA“

Upiec zwykły biszkopt z dziesięciu jaj, czterdziestu deka cukru-pudru (nigdy—kryształ), piętnastu deka mąki pszennej i dziesięciu kartoflanej. Nazajutrz, gdy doskonale wystygnie, rozkrawać na płask, każdy krążek skropić obficie kawą bardzo aromatyczną i mocno ocukrzoną i posmarować następującą masą: osiem żółtek, dwadzieścia deka cukru i szklankę mocnej, aromatycznej kawy bez cykorji ubijać na ogniu, aż zgęstnieje (uważać, aby się nie zagotowało, bo się zwarzy). Oddzielnie utrzeć ćwierć kilo masła na śmietanę, zmieszać z ostudzonym kremem. Połowę posmarować tort w środku, drugą połowę pokryć po wierzchu. Trochę pozostawionej masy ostudzić, aby zesztyniała, i przez tutkę papierową wycisnąć na wierzchu różne ozdoby.

Pani Elżbieta.

PRAKTYCZNE I OSZCZĘDNE GOSPODYNIE NIECHAJ  
PAMIĘTAJĄ, ŻE WOBEC ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ  
ŚWIAT TRZEBA KONIECZNIE  
NABYĆ KSIAŻECZKI  
P. T.

### „CIASTA WIELKANOCNE“ I „PISANKI“

które uczą smacznego i oszczędnego przygotowania babek, placków i mazurków i dają sposoby kraszenia jajek wielkanocnych.

**Cena każdej książeczki 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.**

Wysyła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99,  
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.  
K. O. T-wa Wyd. „Bluszcz” Nr. 13.555.



## DOBRE RADY

Jeżeli w domu, gdzie mieszkamy, jest centralne ogrzewanie, można dać umocować na kaloryferze płytkę żelazną z fajerkami lub bez — zależnie od przeznaczenia przygodnej kuchenki. Nadzwyczaj to wygodny sposób gospodarowania dla osób, mieszkających samotnie. Bez kłopotu mogą mieć o każdej porze gorącą filiżankę herbaty, albo nawet lekki posiłek. Na półce, umocowanej nad kaloryferem, ustawione potrzebne naczynia wyglądają porządnie i nie nadają pokojowi pozoru kuchni. Dla ludzi, mających jeden tylko pokój, jest to idealna wygoda — byle tylko mieć dobrze ogrzane kaloryfery.

\* \* \*

Dzisiejsza moda noszenia jedwabnych pończoszek bardzo jest kosztowna dla osób, zajmujących się wszystkim w domu. Nie mając służącej, ileż to razy trzeba się nachylić aby należycie usunąć kurz i brud z pod mebli! Dla ochrony pończoszek, drących się przeraźliwie przy ciągłym klękaniu, wymyślono dowcipny mebelek, w formie niskiego wysięciałego klęcznika, na którym klęcząc, można przesuwając się łatwo z miejsca na miejsce, nie drąc pończoszek i nie męcząc kolan.

## KORESPONDENCJE

Pani J. M.—Kłosz. Aparat „Vici” nabyć można w składach firmy „Auer”—Marszałkowska 137.—Na raty kosztuje 70 złp—na leżność wpłacić można w trzech równych ratach.

Pani K. R.—Kalendziany. Niech Sz. Pani delikatnie wytrze benzyną tłustą plamę, ostrożnie, żeby nie uszkodzić włosów, a następnie szczoteczką drucianą, specjalną do zamszu, czyści czapkę pod włos, aby go podnieść, a zamsz będzie jak nowy.

Pani L. W. Miechów — Kielce. Serdecznie dziękujemy za wyrazy, które zachęcają do pracy i zacieśniają węzeł sympatii między pismem, a jego czytelnikami. Cieszymy się, że premja podobą się Sz. Pani i że Pani z niej zadowolona.

Pani Z. L. — Koluszki. Podręcznik Warchałowskiego, pod tytułem „Batik”, wydany jest w Krakowie przez Muzeum przemysłowe (Smoleńska 9) — Niech Sz. Pani tam napisze, a oni naśle. O innym podręczniku nie słyszałam.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Blance. Zupełnie słusznie stwierdza Pani, że metoda Mille-  
ra „15 minut dla zdrowia”, jest już przestarzała; zwłaszcza obecnie, gdy higiena ciała coraz to większe znajduje zrozumienie wśród społeczeństwa, — 15 minut jest stanowczo z mało dla osiągnięcia dobrych wyników.

Jednak i Miller ma swoje historyczne, bardzo poważne znaczenie.

Metoda jego stała się popularną w całym świecie, zwłaszcza w świecie kobiecym. Obecnie uwzględniają się najnowsze systemy kosmetyczno-higieniczne. Wyjdzie książka pod tytułem „Mój system” — 30 minut dla zdrowia, dr. Świtalskiej.

Książka opatrzona najnowszymi wskazaniami, jak żyć i co robić, by uzyskać wieczną młodość i piękność. O dniu ukazania się książki zostaną czytelniczki zawiadomione.

Zropaczonej. Przy liszajach wiosennych stosować „Mój krem” poziomkowy dr. Świtalskiej, oraz zamiast wody — zmywać oliwą. Po paru dniach liszaje znikną.

## WIOSNA U JANISZEWSKIEGO

Wiosna przegląda się zalotnie w lustrzanych szymbach ślicznego magazynu W. Janiszewskiego, na Marszałkowskiej 145. Promienie wiosennego słońca oświetlają rozkoszne płaszczyki sportowe z nieprzemakalnej piaskowej gabardiny (spécialité de la maison), igrają wesoło na modnych paltach z wzorzystej, miękkiej wełny. Jak kwiaty wiosenne, rozkwitają jasne sukienki, o miękkich pastelowych kolorach. Zda się, że samo włożenie na siebie tych ślicznych wiosennych kreacji powinno usposabiać wiosennie i radośnie.

### „100 potraw z jaj“

PRZEPISY POTRAW Z JAJ. TAK BARDZO  
CENNE DLA GOSPODYŃ W OKRESIE POSTU

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

### „Czyszczenie plam“

SPOSOBY WYWABIANIA PLAM  
Z WSZELKICH MATERJAŁÓW

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Ryńska 8, tel. 244-18.